Nr. 7 i 8. Kraków, w lipcu 1901 r. Rok II.



Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor.	zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal.	pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.

Na wschód patrząc mym zwyczajem.

(Teofila Lenartowicza).

Prawda, że piękne cudze kraje,
Lecz sercu czegoś nie dostaje,
Kościoły wielkie, zamki, wieże,
Ale za serce nic nie bierze...

We własnym kraju, tu, w ojczyźnie,
Wszystko ci bratnie wszystko ci bliźnie,
Głos ma dla ciebie zrozumiały,
Ta ziemia szara, ten kraj cały.

Te lasy twoją, szumią mową,
I dąb odwieczny nad dąbrową,
Te czaple, czajki i łabędzie,
Coś swego widzisz, słyszysz wszędzie —
A cóż gdy jeszcze w progach domku,
We swoim domku, szczęsny Tomku.
Twoja cię własna matka spotka.

A w cudzym kraju i cóż będzie?
Ziemia na ziemi jak i wszędzie,
Ale ta ziemia — jakaś sucha,
Ale ta ziemia — jakaś głucha.

Zdarzy się w cichej gór kotlinie,
Że jak i u nas potok płynie,
Szumi, po skałach się rozbija,
Woda cię mija — człowiek mija.
Nie twoja chata, gaj zielony,
Nikt ci nie powie: „Pochwalony“ —
— „Na wieki wieków“ — Pod odwieczerz
Drogą tą białą stopy wleczesz;
Głazy i głazy i znów głazy,
Choć się obejrzysz i sto razy,
Nikt się za tobą nie obróci.
Z suchym się ostem wietrzyk kłóci,
I kłos by żalem wskróść brzemienny
Przy ziemi chwieje się nieplennej,
Do tego kłosa równasz siebie,
Co na jałowej rośnie glebie.

Patrzysz, z daleka wierzb warkoczy,
Woda obrywa liście drobne,
Woda na morze listki toczy,
Czyż to do Ciebie nie podobne?
Ty sam przed swojem zawdy okiem,
Ty jesteś wierzbą, kraj potokiem,
Za którym twoje myśli cieką,
I płyną, płyną, tam daleko,
I wciąż się świecą, a tęsknota,
Jak ta pod wieczór barwa złota,

Na wszystko błyska, coś porzucił,
Żebyś oglądał się i smucił.

Przecież za słówko: „Szczęść ci Boże“,
Za dobre słówko dla pielgrzyma,
Choć w oczy chłodny wiatr zadyma,
Choć was nie ujrzę nigdy może,
Toć szczęść wam Boże za otuchę.
Oto mi zda się, żem u zdroja,
Że szczęsne było życie całe,
I że mi wody siostra moja
Przechyla swoje wiadro białe,
Że mnie matka miła,
Na pierś przygładziła.



Bohaterski czyn Bartłomieja Kościelniaka.

Jeszcze blask słoneczny nie rozprószył gęstej mgły wilgotnego wiosennego poranka, a już z chaty wieśniaczej, uczepionej na wyniosłem wzgórzu we wsi Krzeszów, wychyliło się dwóch ludzi. Wśród ciszy zalegającej dokoła przesuwali się szybko; idący naprzód odmawiał półgłosem poranne pacierze, drugi rozglądał się po okolicy, przecierając oczy. Wązkie ścieżyny, któremi postępowali wśród gęstych zarośli, wiodły do lasu; tam się też skierowali.

Krzeszów obfituje w pokłady rudy żelaznej, leży w pięknej, górskiej okolicy w Galicyi zachodniej koło Suchy, gdzie przed laty kilkunastu były huty żelazne i odlewarnie, do których górale z Krzeszowa dostarczali rudy żelaznej. Trudnili się oni tym przemysłem na własną rękę, nie mając do tego żadnej fachowej nauki, ani górniczego doświadczenia, dopomagali sobie tym przemysłem z konieczności, gdyż z uprawy lichej, górskiej ziemi nie mogli wyżyć. Łatwo jednak było przy podobnie nieumiejętnem wydobywaniu rudy o nieszczęśliwy wypadek, który właśnie postanowiliśmy opisać.

Z dwóch ludzi, idących ku wyrębom leśnym Krzeszowa, ten, który odmawiał głośno pacierze, nazywał się Jakób Kachel.

Doszedłszy do swojego szybu, z którego już poprzednio wyzyskał zupełnie rudę, spuścił się do wnętrza tegoż i ztamtąd posyłał windą na górę to wszystko, co mu było potrzebne do mającej się rozpocząć w nowej studni roboty.

Trzeba jeszcze i tę podporę zabrać, mówił do siebie i wyciągnął grubą deskę, podtrzymującą jednę ścianę. W tej samej jednak chwili usuwają się lekko tu i ówdzie balami porozpierane ściany, zasypując nieszczęśliwego górnika siedmiometrową warstwą gruzów, kamieni i na szczęście desek. Te nie odcięły go całkiem od powietrza, gdyż inaczej w kilka minut byłby się nietylko udusił, a i został na miazgę zgnieciony, gdyby ciężar niewstrzymywany tu i ówdzie balami na nim był zaciężył.

Znajdujący się u góry jego współtowarzysz pracy, zobaczywszy co się stało, sądząc, że już po Jakóbie, nie próbował nawet narazie żadnych środków ratunku, tylko dał znać do wsi.

Na wieść o nieszczęściu zeszli się ludzie, ale znając głębokość szybu, a widząc takowy do połowy zawalony, utrzymywali jednogłośnie, że nieszczęśliwy na śmierć zgnieciony został; nikt też nie myślał przyjść jakimkolwiek sposobem w pomoc żywcem zagrzebanemu.

Wtem przeciska się żwawo przez tłum świeżo przybyły Bartłomiej Kościelniak, dawny współtowarzysz pracy Jakóba i pochyla się, nadsłuchując nad szybem.

— Ach, ludzie! toż wy Boga w sercu nie macie, wszyscy stoicie z założonemi rękami, a on napróżno pomocy woła!

Gdy jednak nikt z obecnych nie chciał odważyć się, by wspólnie z nim zabrać się do dzieła, zacny Bartłomiej wyrzekł te słowa:

— Jakób ma żonę i pięcioro dzieci, ja sam jeden na świecie, trzeba go więc ratować, niech się dzieje wola Boża!

Mówiąc to, spuszcza się szybko do studni i zaczyna co sił starczyło usuwać rumowisko.

Odwaga jego i poświęcenie poruszyły nie jedno leniwe i twarde serce, znachodzi się kilku ochotników, którzy mu nareszcie zaczynają pomagać, windując w naczyniach odsypane rumowisko. Wpośród tego słyszano po kilkakroć słabe jęki Kachla i posłano po księdza.

Nadszedł niedługo kapłan, nastąpiła uroczysta cisza, tylko od czasu do czasu słychać urywane i błagalne słowa żywcem zagrzebanego. Ksiądz, wnosząc z nich o jego pokucie i skrusze, rozgrzeszył go, a następnie,

gdy Bartłomiej wziął się do pracy, jeszcze długi czas odmawiał wśród nadbiegających z dalszych nawet wsi mieszkańców wszystkie za konających modlitwy.

Była to chwila nadzwyczaj wzruszająca i pełna grozy. Wśród zgromadzonych widać było rozbudzające się współczucie; widzowie co chwila się nad nim osuwała, a dwa razy tak go zasypała, że inni robotnicy musieli się do szybu spuszczać, by go odkopać. To też kiedy go wydostano po raz wtóry, prawie nieprzytomnego i pokrwawionego, mniej ochotni zaczęli mu odradzać, gdy przyszedł do siebie, próżne według ich przekonania



„i zaczyna co sił starczyło usuwać rumowisko"

przed chwilą obojętni zabierali się do roboty, wszystkich ogarnęła litość i trwoga. Niejeden z obecnych zadrżał w tej chwili o życie swoje i bezpieczeństwo drogich mu osób i pragnął przyczynić się do uratowania biedaka, którego śmierć już prawie w swojej mocy trzymała.

Tymczasem Bartłomiej Kościelniak przoduje innym, nie ustając w pracy, choć ta była olbrzymią i nader niebezpieczną. Ziemia usiłowania ratunku; zabierali się też do domu, by udaremnić dalszą pracę.

Ale Bartłomiej, słysząc coraz słabsze jęki, które wychodziły z pod gruzów, rzucił się napowrót do szybu z hasłem:

— Albo razem umrzeć, albo go wyratować! — i w krwawym pocie czoła tak przez kilka jeszcze godzin pracował, aż dokopał się przecie do wpół już obumarłego. Uwolniwszy mu nareszcie głowę i jedną rękę,

zobaczył dopiero, że reszta ciała zgarbionego tkwiła jakby klinem w natłoczonem naokoło rumowisku; a już to samo zabierało w ciasnym szybie miejsce do koniecznych ruchów i obrotów, mających na celu usuwanie gruzów. To też gdy mu się udało nieszczęśliwego po pas uwolnić, założył mu pod ramiona naokoło ciała linę, za którą kazał ciągnąć windą, podczas gdy sam dopomagał o ile i gdzie się tylko dało. Mimo jego bohaterskich usiłowań musiano przeważnie użyć windy przy ostatecznym ratunku. To też ciągniono, aż wszystkie stawy nieszczęśliwemu ugrzęzłemu trzeszczały.

I wyciągniono wreszcie o wpół do szóstej wieczór najprzód Jakóba a potem Bartłomieja, pokrwawionych, prawie do ludzi niepodobnych: z tą jednak różnicą, że Bartłomiej prowadzony przez towarzysza dowlókł się do domu, Jakóba zaś na sporządzonych naprędce noszach zawieziono jęczącego z bólu do rozpaczającej żony i dzieci. Tak dalece nikt nie przypuszczał, że go wydobędą żywego, że wtedy dopiero posłano po doktora o trzy mile mieszkającego.

Przybył już późno w nocy i zastał nieszczęśliwego w najopłakańszym stanie, trzymanego prawie na rękach przez najbliższe otoczenie, gdyż ani siedzieć, ani leżeć, ani na nogi przystanąć w żaden sposób nie mógł, a całe ciało od głowy do stóp było jakby jednym sińcem pokryte.

Ułożywszy z wielką biedą odpowiednio chorego, doktor kazał mu przystawić dwadzieścia baniek siekanych na klatkę piersiową, już w celu uprzedzenia gorączki, już też by znieść gwałtowne naprężenie skóry przez odymające powietrze; prócz tego całe ciało polecił zawijać w zimne okłady; nie miał jednak narazie żadnej prawie nadziei ocalenia biedaka.

Wielka jest wszakże siła żywotna w człowieku, wielkie miłosierdzie Boskie, a umiejętne leczenie i gorliwe pielęgnowanie chorego, często uchodzące życie powstrzymać potrafią. Tak się stało z Jakóbem. Przez trzy tygodnie wisiał niejako między życiem a śmiercią, w czwartym zaczęło mu się znacznie polepszać, a po upływie dziesięciu tygodni przybył, jako przychodzący do zdrowia podziękować doktorowi za leczenie i opiekę w czasie choroby.

Bartłomiej przyszedł także do siebie, Bóg użycza mu czerstwego zdrowia.

My, którzyśmy byli blizko miejsca, gdzie się ten wypadek przed laty kilkunastu wydarzył, podajemy w wiernym opisie Czytelnikom i Czytelniczkom *Przodownicy* ten wzruszający obraz poświęcenia człowieka, u którego pod grubą siermięgą góralską bije szlachetne serce, pełne chrześcijańskiego miłosierdzia i wytrwałego męstwa.

Walerya Stacherska.



Muzyka na wsi, pieśni gminne.

Wszystkim wiadomo, jak na wsi lubią muzykę. Na weselach, na dożynkach, przy poświęceniu nowych budynków brzmią wesoło skrzypki i huczą basy, że aż serce raźniej poskacze u niejednego mieszczucha, który z pokrytego kurzem, dusznego miasta przyjechał na wieś, by wśród niej czystszem odetchnąć powietrzem.

Rzadko się zdarzy wiejską spotkać dziewczynę, którąby bez piosnki wesołej na ustach czerpała wodę, żęła w polu, prała chusty na rzece lub jakiejkolwiek cięższej oddawała się pracy, nie przyśpiewując sobie do tego. Widać, że robota sporzej idzie, gdy towarzyszy jej piosenka. Często wydarzy się wpośród was młody parobek, lub mały jeszcze chłopczyna, który na skrzypeczkach, kupionych za kilka groszy na jarmarku, wygrywa smętne melodye, że aż łzy cisną się słuchaczom do oczu; a fujarka pastusza, a róg góralski, których rzewne tony spływają wraz z rosą wieczorną na uśpione doliny. Ileż to razy w noc późną przysłuchiwaliśmy się z rozkoszą tej nieuczonej waszej muzyce, jak naturalnej a tak uroczej piosence słowika...

Słuchałem piosnek, nieraz kmieć stuletni,
Trącając kości żelazem, oraczem
Stanął i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłym, lub rymowym płaczem
Was głosił wielcy Ojcowie — bezdzietni.

Mick.

Słuchał więc pieśni waszych i ten król poetów, którego trumnę, wracającą przed kilku laty z obczyzny, wieńczyliście kwiatami pól rodzinnych... Są to jego własne słowa, które przytaczam; słuchał on pieśni waszych tak, jak nikt

słuchać nie umiał i uwiecznił je w księgach swoich na zawsze.

Pieśni śpiewane między ludem miały od dawien dawna nietylko w Polsce, ale i w innych krajach bardzo ważne znaczenie. Z nich bowiem, dowiedzieć się było można o dawnych dziejach, zwyczajach, obyczajach i charakterze jakiegoś narodu. Gdy nie umiano jeszcze pisać, gdy trudno było w danej chwili pożogi lub wojny zapisać to lub owo pamiętne w kraju zdarzenie, opowiadali je ludzie swoim dzieciom, wnukom, ci znowu swoim dzieciom itd. Z czasem opowiadania takie zaczęto układać w wiersze, w pieśni, wymyślano do nich melodye rozmaite i tak z latami dzieje te przeszły w pieśń i przechowały się do naszych czasów. Wiele też ważnych i ciekawych wiadomości zawdzięczają tym pieśniom gminnym powieściopisarze, poeci i malarze. Przeróżne zdarzenia, które pieśń opiewała, zostały przez nich po wiek wieki w księgach lub na obrazach upamiętnione, ale przecież powiada znowu Mickiewicz w swoim prześlicznym wierszu o pieśni gminnej, że i w księgach dzieje narodu nie są dość bezpiecznie zachowane, bo księga może być zniszczoną, obraz przedstawiający zdarzenie jakieś historyczne może ogień spalić, a tylko w ustach ludu w pieśń zaklęte a przechodzące jak skarb z ojca na syna wiecznie żyć będą.

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało!... *Mick.*

Ów wieśniak sto lat liczący, który orząc rolę na wiosnę, wykopał kości poległych przed laty rycerzy, uczcił pamięć przodków pieśnią o ich cnotach; pamiętał może te czasy i tych, którzy za Ojczyznę każdej chwili życie oddać byli gotowi, a pieśń jego była jak płacz smutna, bo wielcy Ojcowie nie zostawili potomków godnych siebie.

Od najdawniejszych czasów snuli się nietylko po całej Polsce, ale po całej Słowiańszczyźnie wędrowni śpiewacy, jak starzy lirnicy, kobziarze, dudarze, gęślarze, teorbaniści, bandurzyści, którzy pamiętając dawne czasy śpiewali je młodszym, przygrywając sobie do tego na przeróżnych instrumentach muzycznych. Oddawali oni ludziom mniej więcej te usługi, jak dzisiaj gazety. Wędrowali z kąta w kąt, po całym kraju, zwłaszcza tam, gdzie się na coś ważnego zanosiło, zbierali skrzętnie każdą nowinę, podpatrywali, podsłuchiwali, byli wszędzie, gdzie się ich najmniej spodziewać było można, a napatrzywszy się na wszystko własnemi oczyma, jak na wojny, łuny pożarne, opustoszałe grody i sioła skutkiem zarazy morowej, spieszyli opowiadać to tym, którzy tego nie widzieli.

Imiona tych najdawniejszych piewców Słowiańszczyzny przechowały się w pamięci ludu aż do dni dzisiejszych. Na Ukrainie żył Bojan, a nad Wełtawą u Czechów Zabój.

Śpiewacy wędrowni byli to zazwyczaj ludzie bardzo ubodzy, żebracy, często kalecy niezdolni do pracy, którzy tym sposobem zarabiali na życie. Hojnie też im się zarobek opłacał; nie mieli nic swego, na tym wielkim świecie, ani ziemi kawałka, ani domu własnego, gdzieby głowę skłonić mogli, a mieli wszystko — otwierały się przed nimi i chaty chłopskie i pałace pańskie, wyciągały się ku nim wszystkich ręce i biedny i bogaty rad im był niezmiernie, chłop radby zapomnieć pod czarem baśni i pieśni ciężkiej swojej doli, pan rozradować się wesołą pieśnią jak winem.

Nazywał ich też lud guślarzami od czarów, gusłów, bo sztuką swoją jak czarodzieje smutek ludzki cudownie koić umieli.

Spełniało się nad biedakami błogosławieństwo Chrystusa, o którem śliczną legendę opowiadają starzy ludzie na Rusi:

Bardzo dawnego było to czasu, kiedy Chrystus Pan wstępował do nieba, rozpłakali się wszyscy ubodzy ludzie na ziemi, ślepi, chromi, wszyscy nędzni bracia nasi. Kiedy Ty Chryste Panie ulatujesz, komu Ty nas Panie zostawujesz? Kto nas będzie karmił, poił? I rzekł do nich Chrystus Pan niebieski: Dam wam, powiada, górę złotą, rzekę miodem płynącą, ogrody z winnicami, jabłonie gałęziste; będziecie nasyceni i napojeni, będziecie obuci, odziani. Tu przemówił św. Jan: Ach, Ty Zbawicielu miłosierny! Nie dawaj im góry złotej, ani rzeki miodem płynącej, ani ogrodów z winnicami, ni jabłoni gałęzistych. Nie potrafią sobie z niemi dać rady; przyjdą do nich silni bogacze i zabiorą im wszystko. Ale Ty daj im, Chryste Panie niebieski, daj im w Imię Twoje Chrystusowe te słodkie pieśni i skazki wielkie o starej przeszłości i jeszcze o Bożych ludziach. Pójdą biedacy po szerokiej ziemi wielkie skazki prawić, każdy ich obuje, przyodzieje, chlebem i solą nakarmi. I rzecze Chrystus Pan niebieski: Niechże się stanie, jako mówisz Janie. Niechże mają pieśni słodkie, gęśli dźwięczne, skazki wielkie. A kto ich nakarmi, napoi, z ciemnej nocy wybawi, temu dam miejsce w raju, dla tego nie zamknięte drzwi do raju".

I stało się tak, jako Chrystus w miłosierdziu Swojem był wypowiedział. Na usta im padły pieśni słodkie, do głowy napłynęły baśnie cudne'

gęśle zadźwięczały i rozeszli się po świecie nędzarze w łachmanach, bogatsi od najbogatszych, bo obdarzeni darem Bożym, którym do dziś dnia obdarza Bóg wybranych Swoich.

Lud nasz od najdawniejszych czasów czuły na muzykę i poezyę, witał zawsze z nieopisaną radością zmęczonych, wlekących się dziadów. Kiedy tylko zdala ozwał się piskliwy głos fujarki, poważny dźwięk teorbana, lub smętnie zabrząkała lira, wszyscy rzucali choćby najpilniejszą robotę i biegli aż na koniec wioski. Każdy ciągnął dziadka ku sobie, witał, częstował, datkami obsypywał, a wypytywał i wypytywał, że wypytywaniom końca nie było.

Dziadek siadał wpośrodku sioła przy rozpalonem ognisku, a ogrzany, nakarmiony, napojony poczynał swoje: drum... drum... drum... Już w drodze ułożył sobie swoje nowiny we wiersze i pieśni, aby wraz z melodyą milej wpadały w ucho i wkradały się w serca słuchaczy.

Opowiadał więc, to śpiewał na przemiany, a wieści te były czasem tak straszne, że aż włosy na głowie powstawały ze zgrozy, a przerażone dzieci tuliły się do swych matek z płaczem i krzykiem.

Gdy mu zabrakło ważnych dziejowych wieści, śpiewał o nieszczęśliwych, zdradzonych kochankach, mężobójczyniach, matkach zbrodniczych i t. p. okropnościach. Tu znowu ze strachem spoglądały po sobie kobiety i dziewczęta młode, przypominając, czy w ich siole coś podobnego się nie zdarzyło?

Może często ślepy dziadek podpatrzył ich własną, straszną tajemnicę...? pogrzebaną gdzieś głęboko w ziemi i w sercu występnem — a teraz głosi je światu całemu!

Tych pieśni podsłuchał także Mickiewicz i powtórzył je wiernie, zachowując nawet charakterystyczny rytm nagminny, jak n. p. w balladzie p. t. „Ucieczka".

On wojuje — rok upłynął,
On nie wraca — może zginął.
Panno szkoda młodych lat:
Od książęcia jedzie swat.
Książę ucztuje we dworze,
A Panna płacze w komorze itd.

Albo nieznajomy wam rytm i pieśń:

Zbrodnia to niesłychana,
Pani zabija pana,
Zabiwszy, grzebie w gaju
Na łączce przy ruczaju,
Grób lilią zasiewa
Zasiewając tak śpiewa:
„Rośnij kwiecie wysoko,
Jak pan leży głęboko,
Jak pan leży głęboko,
Tak ty rośnij wysoko".

Pieśni te wszystkie gminne jak: „Lilie", „Ucieczka", Rybka", „Świteź", „Świtezianka" umieścił poeta w swych księgach w rozdziale: „Ballady i Romanse".

W każdym zakątku Polski grywano na innych instrumentach. Na Ukrainie ślepy dziad lirnik przygrywał: drum... drum... drum... na smętnej, jednostajnej lirze i wyśpiewywał żałosnym głosem smutne dzieje tej ziemi. Na Litwie grywano na dudkach, kobzach, cymbałach. W Ziemi krakowskiej na skrzypkach. Mieszkańcy Tatr grywali na fletach, fujarkach, multankach. Opowiadają w Tatrach, o herszcie rozbójników Napierskim, że gdy go kat miał wieszać na rynku w Krakowie, już na ostatnim szczeblu pod szubienicą, prosił, by mu pozwolono po raz ostatni zagrać na ulubionej multance i posłać pozdrowienie kochance, towarzyszom, światu Bożemu!

Drabina się kończy,
Niech zagram raz jeszcze
Nim śmierć mnie rozłączy,
Z światem się popieszczę
I zagrzmiał w głos gruby,
Jak organ grzmi farny,
Aż zrywał chmur czuby,
Aż nastał dzień czarny.
Gdzie stryczek? — kat woła,
Gdzie szyja? wżdy ciemno,
Oj strach był dokoła,
Kat wołał daremno...

Bo z borów, siół, szlaków głos wrócił, a za głosem stu góralskich junaków wpadło i w jednej chwili oswobodzili herszta a kata powiesili. Takiej sztuki dokazał na swojej multance herszt opryszków pod szubienicą.

Wesołe skrzypki, zdolne wydawać najrozmaitsze tony, nadawały się więcej do towarzyszenia tańcom, używał je też lud krakowski, mający szczęśliwszą dolę od swych braci Rusinów. U tych zrodziły się skoczne krakowiaki, u tamtych tęskne dumki.

Charakter ludu i dzieje jego nietylko można poznać ze słów pieśni, ale z samej już melodyi. Piosnka przychodząc na usta w wielkiem szczęściu, wybucha radosna wraz z śmiechem serdecznym, w nieszczęściu, bólu i tęsknocie rwie się ona także z serca i spływa na usta wraz z jękiem i łzami.

Tam folgę przynosi wielkiej radości, tu ulgę zbolałej duszy.

Lubi więc lud nasz muzykę taką, jaką sobie sam w doli swojej stworzył; rodzi się z talentem i zamiłowaniem do niej to wielkie szczę-

ście, — bo nie ma pracy, nie ma smutku, którejby melodya nie umiliła, lżejszym nie uczyniła.

Już w starym testamencie czytać można, jak Dawid, pasterz cudną grą na harfie, potrafił rozprószyć ponury smutek króla Saula, że tenże go umiłował jak syna. A wam, czy nie lżejsząby się zdała praca w polu, w dniu upalnym, choć się pot z czoła leje, gdyby tylko skrzypek i basista mógł tam także wyruszyć?...

Ale oprócz tego, że melodya pieści ucho, jak zielona łąka lub złociste pole wabi oko, że rozrywa w smutku lub pobudza do wesołości, śmiechu i tańca, ma ona jeszcze inny, ważniejszy cel przeznaczony od Boga.

Oto wywiera umoralniający wpływ na serce i duszę ludzką, t. j. przytłumia złe instynkta, a wzbudza pożyteczne, piękne i dobre. Opuszczonych, wałęsających się chłopców po ulicach miast wielkich, z najgorszymi nałogami zbierają osoby o wielkiej, chrześcijańskiej miłości, a opiekując się nimi, każą ich przedewszystkiem uczyć muzyki. Pod jej dobroczynnym wpływem młodociane dusze przestępców stają się zdolniejszemi do pojęcia doskonałości Boga i do odróżnienia występku od cnoty.

Znam jedno zdarzenie, w którem gra na fujarce ocaliła życie staremu, zasłużonemu plebanowi, a że jest bardzo ciekawem, opowiem dla przykładu, jak zbawienny wpływ może wywrzeć czasem i najprostsza melodya.

Wypadek ten zdarzył się w jednej z góralskich wiosek.

O starym plebanie, który już trzecie w tej wiosce wychowywał pokolenie, mówić poczęto naraz, że znaczne pieniądze zamyka w małym, żelaznym kuferku w alkierzu swoim.

Pogłoskę tę rozsiewał głównie między chłopami żyd-arendarz, aby obudzić pokusę i skorzystać z niej dla siebie. Z początku długo mu się nie udawało; chłopi jakby nie rozumieli, albo nie chcieli rozumieć, odpowiadali tylko: „Ma Jegomość, to niech ma, co nam do tego“. Wreszcie bies mu przyszedł w pomoc.

Do wsi powrócił z wojska na urlop młody chłopak, syn zamożnych gospodarzy. Chłopak był z natury swawolnik wielki, a wróciwszy z pod karabinowej niewoli, chciał odbić sobie czas stracony. Nie obeszła się też żadna hulatyka, wesele, stypa, aby Antka na nich nie było. Za jego przybyciem inne życie zawitało w cichej dotychczas wioszczynie. Nie było niedzieli, aby muzyka nie grała w karczmie. Sam płacił muzykantów, sam też ich sprowadzał. Bóg nie wie zkąd. Mówiono, że jak Antkowi zachce się muzyki, to ją nogą z ziemi wytrząśnie.

Tak też i było jednego razu, dobył muzykantów z pod ziemi, dwóch czarnych jak djabeł cygańskich drabów, którzy istotnie jakby z piekła rodem, grali niby duszom potępionym do tańca.

Antek hulał bez pamięci, a grosza sypał tak, jakby ze swojej a nie z ojcowskiej kieszeni. Donieśli o tem staremu, który przyszedł do karczmy zabrać syna odgrażając, że mu nigdy więcej grosza do ręki nie da. Chłopak, rozgrzany hulatyką i „mocną“, którą go arendarz gęsto częstował, począł wyzywać ojcu i Bóg wie, do jakiej strasznej byłoby przyszło rzeczy, gdyby starego nie zabrali sąsiedzi, tłómacząc, że Antek, jak się wytrzeźwi, to i sam trafi do domu.

Żyd uważał, że wartoby z Antkiem teraz pogadać i gdy się już wszyscy rozeszli, jął przedstawiać chłopakowi, że na tak porządne życie to „panu Antkowi“ grosza braknąć może, bo u ojca go nie ma na tyle.

Antek nawpół pijany przytakiwał tylko głową „a juścić, a pewno“ — przebywał przecie na wielgim świecie i wie dobrze, że się na nim bez grosza nie obeńdzie.

— A ten, co z nim poczynać nie wie co, to go ma jak lodu — zaśmiał się żyd.

— Kto taki? — zawołał Antek.

— A nie mówiłem to już wam ze sto razy, że ksiądz... stary jak grzyb...

Antek, choć pijany, zbladł bardzo, lecz żyd trącił się znowu kubkiem — poczem tak cicho ze sobą szeptali, że już i pary z ust niktby nie pochwycił.

Była noc... Księżyc skrył się na chwilę w chmury, z pomiędzy krzaków dzikiego bzu, malin i ogrodowej leszczyny bieliła się plebania, podparta dla wielkiej starości z jednej strony słupami, które ją chroniły od upadku.

Pleban staruszek, blisko 90-letni, nie chciał umyślnie jej odnawiać — „niech tam“ — powiada — „razem zestarzeliśmy się, rozłączać się nie godzi; po mojej śmierci nowy pleban wystawi sobie nową plebanię“. I tak było dalej.

Staruszek pochylił się ku ziemi i sprawił sobie potężną, jak mawiał, „palicę“, na której się opierał, plebanii też sprawił słup gruby i kazał ją podeprzeć z tej strony, z której się najbardziej ku upadku chyliła.

I tak oboje sobie żyli z dnia na dzień, czerstwi choć pochyleni wiekiem.

Antek o wszystkiem wiedział i właśnie myślał, skradając się pod okna plebanii, jak łatwo przyjdzie mu wyjąć z okna małą, trzęsącą się szybkę. Ksiądz będzie spał, głuchy do tego trochę, nie dosłyszy hałasu. Pieniądze a zresztą

i cały mały kuferek z łatwością przyjdzie mu wynieść. Rabunkiem miał się podzielić z Mendlem za dochowanie tajemnicy i dobrą radę.

— A gdy się zbudzi ksiądz i zechce narobić hałasu?... To co?... To co będzie? — pytał sam siebie Antek i nagle począł się modlić, aby ksiądz nie obudził się. Wtem splunął i sam na siebie zaklął siarczyście! czart żarty sobie z niego stroi, czy co?... On idzie rabować, a może?... I tu nie mógł wymówić tego, co myślał. Jemu też teraz do modlitwy, jak djabłu do sutanny!

Podsunął się pod okno i wpatrzył. Wszędy ciemno... Staruszek był pogrążony w głębokim śnie; chrapanie jego przez cienkie szybki na zewnątrz słychać było. Był całkiem sam, czeladź spała po drugiej stronie domu, czegóż — mówił — obawiać się może pasterz pośród owieczek swoich, których dusze piastował przez trzy pokolenia?

— A jak się zbudzi? — myślał Antek, wsłuchując się w chrapanie księdza? Jak się zbudzi? To co? To co? — pytał sam siebie po raz może setny. Jak się zbudzi — podszepnął mu bies — to jego własna wina... niczyja... niczyja. Wtedy będzie trzeba tak poczynać, aby nie narobił hałasu... Zimny pot wystąpił mu na czoło, ale wódka z muzyką cygańską szumiała w głowie i zagłuszyła resztę sumienia.

Począł bez namysłu majstrować koło okna... Wtem z poza gór miesiąc wychylił swoją twarz pyzatą i jął oczyma swemi świdrować Antka, a równocześnie gdzieś daleko ozwała się fujarka.

Pastuszkom czuwającym przy owcach na hali w piękną noc wiosenną spać się odechciało — zebrało się więc im na ochotę i poczęli grać na fujarkach.

Wśród cichej nocy rzewne tony fujarki płynęły daleko zawodzącem echem, odbijały się o skaliste góry i spływały na cichą, w śnie pogrążąną dolinę, jak skarga płaczącej matki.

Antek przycupnął u okna. Ejże, czy nie głupi? Pastuchy go przecie nie użrą — tam, hen gdzieś za górą wysoką, której ztąd nieuwidzi, a tylko fujarki granie zalatuje aż tu. Ale znów go coś mami, bies, czy inne kiej licho?

Przecie nie dziwna mu fujarka, ale od tej, coś go tak w sercu wierci, jakby tam w tej fujarce płacz siedział i jakby jemu się od tego na płacz zbierało.

Raptem przypomniało mu się, że tak całkiem zawodziła matka, gdy starszego brata jego na mogiłki wiedli. Zawodziła, gdy wrócili z pogrzebu do domu i ujrzała pusty tapczan, na którym Jasiek, nim go wynieśli, długie przeleżał miesiące.

„Tyś u mnie teraz Antek jeden w chałupie“, powiedziała, ocierając fartuchem spuchnięte z płaczu oczy, takim głosem, że mu od tego powiedzenia mało co serce nie pękło, bo był on dobry chłopak, ino swawolnik wielki. I tak mu się teraz wszystko jakoś przypominało, jakby na to co tylko był patrzał. I ksiądz staruszek, ten sam, jak trumnę kropił, zanim ją do dołu spuszczono, i ludzie co śpiewali potem „Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie“, i on sam, jak ocierając oczy rękawem, rzucał wraz z innymi żółtą, gliniastą ziemię na trumnę Jasia.

Dziwna rzecz, jak mu to teraz wszystko jakoś na pamięć przychodzi. Toż on do reszty zapomniał sobie, co ma teraz robić?

Do głosu fujarki przyłączyły się teraz głosy ludzkie, kilku pastuszków razem zaczęło śpiewać. Nuta pieśni była Antkowi dobrze znaną; była to często śpiewana przez lud tamtejszy smętna dumka, w której mowa o lekkomyślnym synu, marnie ginącym na obczyźnie, a któremu matka, czy też widzenie matki powtarza znów to samo, co słyszał od niej przez całe życie.

Wśród ciszy nocnej dochodziły go wyraźnie słowa, a raczej się ich domyślał:

Przyszła matka, przyszła matka,
Przyszła matuleńka,
Obróciła białe lica przeciw synaleńka,
Widzisz synu, widzisz synu, widzisz moje dziecię,
Kto nie słucha ojca, matki, tego marne życie,
Tego marne życie.

Ode wsi dochodziło psów ujadanie. Miało się na dzień. Wiatr chłodny powiał od gór i ochłodził rozpaloną głowę Antka, z której reszta muzyki cygańskiej i wódki Mendlowej uciekła. Myślał teraz, że jego matka żyje jeszcze i że mu to samo co dzień powtarza; przypomniał, jak go dzieckiem uczyła pacierza, prowadziła na katechizm do kościoła, a teraz śpi tam w domu w komorze i nie wie o niczem... Antek jak skoczy w sad, jak pocznie gnać przez płoty, rowy, gąszcze na przełaj, tak nie wstrzymał się aż przed samą swoją chałupą.

Nazajutrz wstał jak inny, aż się matka dziwowała, pocałował ojca w rękę za wczorajszą swawolę i obiecał poprawę, czemu i uwierzyli, bo się wybrał zaraz do spowiedzi. Księdzu wyznał, że go chciał obrabować, a gdyby się obudził, zabić; ale gdy usłyszał głos fujarki, odeszła go odwaga, bo zdało mu się, że słyszy płacz matki. Prosił plebana, by opowiadał tę przygodę każdemu, kto ją zechce słuchać, zamilczawszy o jego nazwisku.

Stary pleban żyje jeszcze i opowiadać lubi każdemu dzieje długiego swego żywota, a nakoniec zawsze o fujarce, która mu życie ocaliła.

Niestety pomimo szczytnego powołania, jakie jest przeznaczeniem muzyki, używają jej źli ludzie jako środka w osiągnięciu karygodnych celów. Najwstrętniejszą frymarkę tą Bożą posłanką prowadzą ci, którzy używają jej jako pokusy do ściągnięcia ludzi w miejsca, gdzie w pijanej atmosferze pijatyki i rozpusty zatracają pamięć ludzkiej godności. Jak Judasz użył pocałunku, który dotąd był godłem pokoju i miłości, ku zdradzie Chrystusa, tak podobnież czynią ci, co używają muzyki na zgubę szczęścia i sumienia ludzkiego. Tam muzyki nie szukajcie, nie kalajcie jej pięknego posłannictwa, które wzięła z rąk samego Boga. Co innego jest tańczyć i bawić się na uroczystościach domowych, weselach, dożynkach i t. d. w porządnych chatach gospodarskich, gdzie gościnność gospodarzy, uroczystość chwili i stare, narodowe zwyczaje składają się na ochotę i zabawę.

Ochocze zabawy w chatach gospodarskich, jakoteż i muzyka nieuczonych skrzypków i basistów, natchnęła przed laty poetów naszych, nieznaną dotąd poezyą rodzimą, ludową, prostą a pełną wdzięku jak kwiatek leśny, lub owa dumka pastusza, rozbijająca się nocą o skały. Pod urokiem tejże muzyki stworzyli oni cały szereg najwdzięczniejszych poezyj, które im zjednały w piśmiennictwie nazwę poetów ludowych. Do takich zaliczają się przedewszystkiem Kazimierz Brodziński i Teofil Lenartowicz.

Lenartowicz, zapalony miłośnik muzyki a przedewszystkiem przyjaciel wiejskich samouków, stworzył cały szereg melodyjnych poezyi, naśladujących rytmem krakowiaki, mazury, lub też mazowieckie kujawiaki.

Posłuchajcie, jak w wierszu jego „Do mojego grajka“ rozhulany mazur śpiewa, że chciałoby się z nim razem podskoczyć, słysząc jego:

Danaż moja, dana, dana
Od wieczora aż do rana
Grajże grajku, bo daremno
A ty Baśko kręć się ze mną,
Jak się Mazur puści szczerze,
Niech się świat za głowę bierze
Jak się Mazur rozochoci,
Co na drodze to wygrzmoci!

Zapalony tańcem, roznamiętniony grą muzykanta Janka, który, gdyby chciał tylko, to potrafi tak okrutnie pięknie zagrać, że od grania jego mogłaby cała Polska ran swych zapomnieć, odchodzi od siebie ze szczęśliwości. — Zdaje mu się, że cały świat z nim razem tańcuje i kury na grzędzie i cielęta w oborniku i dziecko w kolebce, a gwiazdy, że się z nieba porwać nie mogą, mrugają z wielkiej ochoty tylko oczami, ba — nawet Święci w niebie, rozochoceni grą Janka, podśpiewują sobie: „Grajże Janku, będziesz w niebie, a basista koło ciebie“.

Brodziński dużo lat jeszcze przed Lenartowiczem napisał sielankę swoją pod napisem: „Wiesław“, w której daje nam wdzięczny obraz wesela krakowskiego ze skrzypkami, basistami i dziarskim zastępem młodzi krakowskiej, która, krzesząc w ochoczym tańcu ognia podkówkami i pobrzękując setką kółeczek swoich czerwonych pasów, przyśpiewuje tak serdeczne krakowiaki, że na twarze hożych druchen żar od nich bije, jak od lipcowego słonka.

Komuż nieznane krakowiaki, które Wiesław przyśpiewuje do Haliny, zachwycony jej urodą:

Niechże lepiej ja nie żyję,
Dziewczę skarby moje,
Jeśli kiedy oczka czyje,
Milsze mi nad twoje.

Patrzajże mi prosto w oczy,
Bo widzi Bóg w Niebie,
Że mi ledwo nie wyskoczy
Serduszko do ciebie i t. d.

Niezrównane jednak arcydzieło na tle wiejskiej muzyki stworzył król tej rodzimej poezyi Adam Mickiewicz, opisując w najznakomitszem dziele swem p. t. „Pan Tadeusz“ grę na cymbałach żyda Jankla. Przypomnę tylko tę scenę, bo zapewne wszystkim czytelnikom znaną jest z „Pana Tadeusza“: Oto w staropolskim, szlacheckim dworze na Litwie, odbywają się zaręczyny młodej pary, Zofii i Tadeusza, Sędzia, opiekun Zofii, a stryj Tadeusza woła do generała Dąbrowskiego, który z wojskiem legionistów stoi kwaterą we dworze:

Każ Pan, żeby się jeszcze kapela wstrzymała,
Wiesz, że dzisiaj synowca mego zaręczyny,
A dawnym zwyczajem jest naszej rodziny
Zaręczać się i żenić przy wiejskiej muzyce,
Patrz, stoi cymbalista, skrzypek i kozice
Poczciwi muzykanci, już skrzypek się zżyma,
A kobeźnik kłania się i żebrze oczyma,
Jeżeli ich odprawię, biedni będą płakać,
Lud przy innej muzyce nie potrafi skakać,
Niechaj ci zaczną, niech się i lud podweseli,
Potem będziem wybornej twej słuchać kapeli.

Ale najlepszym z pomiędzy muzykantów wiejskich był stary cymbalista żyd Jankiel, o którym poeta mówi: żyd poczciwy, Ojczyznę jako Polak kochał. Jak to on zagrał „Polonez 3-go maja“! Zdawało się słyszeć ten okrzyk radosny

z przed laty, którym naród witał wschodzącą jutrzenkę nowego życia w swem łonie, nowych praw, nowych nadziei! A potem znowu straszną rzeź Pragi, alarm wojenny, strzały, jęk matek, płacz dzieci, a tak wszystko wyraźnie i przejmująco, jakby tuż, tuż nad głową zabłysnąć miała łuna pożarna, a dzwon na trwogę uderzyć, że żołnierz morduje lud bezbronny. Wiejskim kobietom, które słuchały tej muzyki serca ażstrętwiały z żałości i grozy, chociaż dzieje owe straszne znały tylko z pieśni i powieści. A nakoniec ta stara piosenka o żołnierzu tułaczu:

Który borem, lasem
Idzie z głodu i chłodu,
Przymierając czasem,
Wreszcie u nóg pada
Konika wiernego,
A wierny konik grzebie
Mogiłę dla niego.

I ostatnie, mistrzowskie uderzenie starego grajka, pod którem zdawało się, że pękną struny, ale one nie pękły, lecz zadzwoniły jak trąby mosiężne, a z trąb wzleciała ku niebu pieśń potężna nadzieją, wiarą, ufnością w siły narodu: Jeszcze Polska nie nie zginęła!...

Tak grał żyd, wiejski muzykant a Polak serdeczny, który natchnienie do swej gry czerpał w wielkiej miłości Ojczyzny. Jak stary Wajdelota litewski wyśpiewał na cymbałach swoich ostatnie chwile gasnącej Rzeczypospolitej ostatnie wysilenia chcących ratować ją prawych synów Ojczyzny, krótkotrwałą radość narodu, poczem rozpacz, trwogę, zwątpienie i znowu nigdy niegasnącą nadzieję.

Wszystkie te uczucia opanowywały po kolei serca słuchaczy. Zapał grajka udzielił się wyruszającym w drogę legionistom Dąbrowskiego, nadzieja podniosła im głowy wysoko. Kto wie, ile serc mężnych, zwątpieniem zatrutych, uderzyło nanowo miłością sprawy narodowej, ile rąk opadłych w zniechęceniu na widok klęsk Ojczyzny chwyciło nanowo za oręż.

Na wysokim stopniu godności postawił tutaj poeta muzykę wiejską; na wysokim stopniu „pieśń gminną", nazywając ją w dziełach swoich „arką przymierza", „kościołem świętych pamiątek", „ostatnią skarbnicą chwały narodowej". Nie ściągać ich nikomu z tych wyżyn, na które postawiło je wielkie posłannictwo społeczne i dziejowe, na którem postawił je największy duch Polski. Nie szukać dla nich miejsca tam, gdzie otoczenie i nastrój mogą nieraz powszechnie znane pieśni narodowe spaczyć po grubijańsku (w czem prawdopodobnie pochopną pomoc niosły wrogie nam żywioły) tak, że zaledwie ślad pierwotnego motywu pozostał, a reszta jakby na urągowisko własnemu losowi stworzoną została. Smutnem ale prawdziwem jest, że nikt pieśni pewnej w całej wiosce powtórzyć nie umiał taką, jaką była, gdy się zrodziła w bohaterskiej chwili swego narodu, gdy wzrastała świeżą, młodą wraz z liściem wawrzynu na jego czole.

Najprzykrzejsze wrażenie robiły małe dzieci, które w naiwności swej z zapałem powtarzały, jedno za drugiem tak, jak je nauczono, przekręconą pieśń i ośmieszoną.

Poprawione niedowierzająco spoglądały a śmielsze zaprzeczyły wprost, mówiąc: „wy nie umiecie, u nas tak nie śpiewają" i z widocznem zadowoleniem i uporem powtarzały swoje brednie. Jedną z takich pieśni była pieśń o bohaterskim królu Janie Sobieskim (o królu Sobku, jak go nazywają w niektórych okolicach), drugą znany powszechnie hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła"!

Bardzo chwalebny zwyczaj spotykaliśmy po niektórych okolicach, że nauczyciele albo organiści wiejscy, sami zamiłowani w muzyce, kształcili w niej młodzież wiejską. Więcej uzdolnionych uczono czytać nuty, inni śpiewali ze słuchu. Śpiewano na trzy, cztery głosy pieśni świeckie i kościelne. Chóry takie występowały często podczas nabożeństwa w kościele, lub przy uroczystościach okolicznościowych i z przyjemnością słuchać ich było można. Mamy w okolicy naszej chór Zabierzowski, życzyćby wypadało, aby na każdej piędzi ziemi polskiej wraz z czytelniami ludowemi powstawały także takie towarzystwa śpiewackie, któreby miały na celu pielęgnowanie melodyj rodzimych i starych pieśni narodowych, o których dzisiaj już słuch zaginął lub wynurzają się tu i owdzie skarykaturowane przez obcych i swoich. Znajdą się jeszcze wpośród was starzy Wajdeloci, którzy, jak on litewski ostatni,*) ze zgliszczów i ruin swojej Ojczyzny uniósł pieśń o jej przeszłości, a zaśpiewawszy podczas pijanej ochoty, rozbudził ze snu mściciela! Niech ci będą nauczycielami waszymi a słowa pieśni nietykalne, jak modlitwy słowa!

U wszystkich narodów mają pieśni to samo doniosłe znaczenie, o jakiem mowa była z początku, u narodów zaś, którym byt polityczny wydarto, są one nietylko pomnikiem jego sławy, ale fundamentem przyszłego odrodzenia. Smutnym objawem upadku ducha byłoby u każdego innego szczęśliwszego narodu, takie znieważanie swoich pieśni; u nas, gdzie zewsząd wrogi żywioł czuwa, by nas z ojcowizny, języka i trady-

*) Czytaj: „Konrad Wallenrod" Mickiewicza.

cyi wywłaszczyć, jest to wprost występek, dający się tylko głęboką niewiadomością położenia swego wytłómaczyć.

Do Was to kobiety, matki i wychowawczynie młodego pokolenia należy przedewszystkiem wziąć w opiekę ten skarb rodzinny i strzedz go bacznie od skazy.

Nic nie ma przykrzejszego jak kiedy w niewinnych ustach dziecięcia, niestosowna pieśń zadźwięczy, a cóż dopiero, gdy jest parodyą pieśni, która przez wieki wiodła ojce nasze na zwycięzkie boje i skony ofiarne. Pieśń wolnego niegdyś narodu ma dzieci Wasze uchronić przed spodleniem. Jakąż ją im przekazujecie? W niej, według słów poety, lud złożył „broń swego rycerza, swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“. Waszym to obowiązkiem i w waszej to mocy zostawić innym tę wielką spuściznę, wierną i prawdziwą. Skazką, pieśnią, koicie trwogi i żale dziecięce, karmicie nieraz chciwe wrażeń młodociane ucho i serce.

Matki to pieśń, już u kolebki jak anioł snu wieczorny czuwając, wiedzie duszę dziecka w krainę marzeń i utrwala się w niej często wraz z pierwszem wspomnieniem jej na zawsze. Dla Was więc tu droga do pracy, do działania! Prządźcież pieśń dalej, snujcie ją prządki niestrudzone! a niech się nie rwie przędziwo, nie brudzi, niech złota nić prawdziwego natchnienia i miłości ojczystej przewija się w niem ciągle, wszak w błogosławieństwie przekazał Chrystus być pieśni „słodką i wielką, o starej przeszłości prawiącą“ jeszcze w bożych ludziach zostawiając ją nazawsze w dziedzictwie maluczkich.

Zakopane, dnia 8 lipca 1901 r.

A. Bandrowska.



Czy można ustrzedz się choroby.

Wiadomem jest powszechnie, że ludzie silni i młodzi, jeżeli zapadną na zdrowiu, dźwigają się prędzej niż starzy i wynędzniali. Dlatego każdy człowiek starać się przedewszystkiem powinien, o jak najlepsze siły, aby się módz z chorobami mierzyć zwycięzko.

Każdej roślince, jeżeli ma ładnie wyrosnąć, zakwitnąć i owoc wydać, potrzeba należytego światła, powietrza, wody i odpowiednio pożywnego gruntu. Tego samego potrzebują zwierzęta, tego również wymaga i człowiek. Schowany w ciemnej piwnicy ziemniak, gdy przyjdzie pora właściwa wypuści kiełki i utworzy liście, ale będzie to tylko biała nikła nać — plonu z ziemniaków hodowanych w ten sposób zebrać nie potrafimy. Spróbójmy chować dziecko w ciemnej komorze, będzie blade, wątłe, słabiutkie. Dlatego starać się musimy o dostateczne oświetlenie naszych mieszkań. Niewielkim kosztem powiększyć możemy maleńkie zazwyczaj okna naszych chat, niewielkim zachodem postarać się o czystość szyb, a koszt i zachód opłaci nam sowicie zdrowie, które bez dostatecznej ilości światła zawsze chromać będzie. Dowiemy się później, że potrzebnem jest nietylko światło w ogóle ale przedewszystkiem światło słoneczne. Dlatego trzeba okna w chatach skierowywać na zachód lub południe, a nigdy na północ ani nawet na wschód. Słońce bowiem niszczy znakomicie zarazki od których różne choroby zależą, osusza wilgoć tak bardzo zdrowiu szkodliwą. Jaknajwięcej słońca wpuszczać trzeba do wnętrzna mieszkań naszych, jaknajwięcej na słońcu spędzać czasu!

Przy tem ostatniem wszakże należy pamiętać, że głowę osłaniać potrzeba. Zbyt silne promienie słońca łatwo zaszkodzić mogą i wywołać zapalenie mózgu lub t. zw. udar słoneczny. Kapelusz słomiany lub lekka jasna chusteczka doskonale od nadmiaru słońca zabezpieczą. Ciemne chustki powodują jeszcze większe przypalanie, dlatego tylko jasnych używać należy. Najlepszą wszakże osłoną jest słomiany lekki kapelusz z szerokiemi skrzydłami. Chustka zanadto grzeje, przytem głowa i włosy zwykle się pocą co wywołuje nieprzyjemny zapach, a także wpływa szkodliwie i na wzrost włosów. Kapelusz osłaniając tylko wierzch głowy, resztę zostawia dostępną dla przewiewu. Dziś słomiane kapelusze są tak tanie, że dziwnem jest doprawdy dlaczego kobiety wiejskie zupełnie ich nie używają. Chustka powinna być noszoną tylko w zimie a kapelusz w lecie.

Obok światła potrzebnem jest dla człowieka dostateczna ilość powietrza. Tymczasem wszystkie chaty nasze bez wyjątku powietrza tego mają za mało. Budujemy małe izdebki, a tak niskie nieraz, że wysoki człowiek, głową powały sięga, trzymamy w nich oprócz nadmiernej liczby ludzi nieraz i zwierzęta domowe, palimy w mieszkalnych izbach ogniska, nie wypuszczając nawet wobec braku kominów dymu, który dusi w piersiach i oczy wygryza. — Powiecie na to, że

zbudowanie wysokiej izby więcej kosztuje niż niskiej, i że wysoką o dużych oknach trudniej opalić w zimie. To wszystko prawda, ale powiemy wam jedno: zdrowie nie ma ceny. Zdrowy, silny człowiek zarobi bez porównania więcej niż słaby, ciągle na zdrowiu zapadający. Ze zdrowiem przyjdzie dobrobyt i koszt chat wyższych opłaci się w zupełności. Zresztą przekonali się o tem mieszkańcy innych krajów. Chaty takiej, jak nasza polska nie spotka już nigdzie na zachodzie Europy, choćby nawet u naszych najbliższych sąsiadów-niemców. Murowane, wysokie, zawsze z kominami domki, służą za mieszkania dla tamtejszych rolników, przyczem obórki i stajenki stawiane są w pewnej od mieszkania odległości, żeby zapach gnoju nie zanieczyszczał powietrza. Izba sypialna oddzielona od tej w której się gotuje i jada, żeby powietrze na noc było czyste, nie zepsute.

Wszystko to naśladować możemy i winniśmy, są to bowiem rzeczy nie tak trudne. Oszczędzić na piciu wódki, paleniu tytoniu lub skargach sądowych, a znajdzie się grosz na porządne mieszkania.

A gdy już żadnych ulepszeń w chacie poczynić się nie da, zróbmyż choć to, co jest w mocy każdej gospodyni. Uprzątnijmy izbę czyściutko, żeby żadnych śmieci nie było, bo te, gnijąc po kątach, zanieczyszczają powietrze, otwierajmy okna często, żeby zaduch usunąć. W lecie okna powinny być otwarte przez dzień cały, a i w zimie również mieszkanie przewietrzać potrzeba przez otwieranie okien lub drzwi choć na ćwierć godziny przy porannem uprzątaniu izby. A sprzątnąć trzeba codziennie, przytem przed zamiataniem należy podłogę skropić, żeby pyłu nie robić, bo pył wpadając do płuc również szkodliwym być może. Na podłogę nie pluć, gdy zaś kto kaszle postawić mu w kącie izby miskę napełnioną piaskiem, który trzeba co pewien czas odmieniać, wyrzucając brudny na gnój i przykrywając go ziemią. W ten sposób utrzyma się w izbie porządek, a z nim choć trochę lepszego powietrza. Pamiętajcie bowiem, że bez dostatecznej ilości świeżego, czystego powietrza człowiek nie może być zdrowym.

Trzecim warunkiem niezbędnym dla utrzymania zdrowia w należytym stanie jest posiadanie dostatecznej ilości dobrej wody. W pobliżu każdego mieszkania powinna być w bliskości dobra, porządnie utrzymana studzienka lub źródło. Woda w nich powinna być przeźroczysta i zabezpieczona od ścieków z powierzchni ziemi. Woda rzeczna do picia używaną być nie powinna właśnie dlatego, że spływają do niej różne nieczystości z powierzchni ziemi. Studnie powinny być szczelnie cembrowane a z wierzchu ziemia dobrze ubita i pokryta kilkucalową warstwą gliny ściśle udeptanej, żeby się z powierzchni nic przesączać do wody studziennej nie mogło. Wody powinno być dużo i blizko, żeby nie było potrzeby jej oszczędzania. Dlatego przy wyborze miejsca pod budowę domu powinno się pilnie baczyć czy możliwem jest otrzymanie w pobliżu dobrej wody. Pamiętajmy bowiem, że oprócz do picia potrzebną jest woda do przyrządzania pokarmów naszych, do utrzymania całego obejścia naszego w czystości i porządku, wreszcie do utrzymania w czystości naszego ciała To ostatnie jest bardzo ważnem, a tak mało, niestety, przestrzeganem. Znamy mieszkańców wiosek nad brzegami rzeki położonych, którzy nigdy się w rzece nie kąpią. Z kąpieli, tak dla zdrowia niezbędnej, korzystają zaledwie dzieci, uważając kąpiel jako przyjemną zabawę, dorośli nie używają jej wcale. A przecież czystość ciała jest bardzo ważną, nie mówiąc już o tem, że wprost przyjemniej jest człowiekowi, gdy czuje na sobie miękką czystą skórę.

Pewien doktór zrobił doświadczenie następujące. Synowi swojemu oblepił całe ciało żywicą. Po upływie paru dni chłopiec pomimo dobrego jedzenia i zupełnej swobody zaczął tracić apetyt, narzekać na ból głowy, doznawać uczucia duszności, słowem zaczął się czuć chorym. Wszystko minęło po odpowiedniej kąpieli. Brud oblepiający nasze ciało działa tak samo jak żywica u owego chłopca. Skóra nasza posiadająca tysiące drobniutkich otworków dopomagających człowiekowi do oddychania powinna być czystą, aby owe otworki należycie mogły spełniać swe zadanie. Gdy otworki owe zalepimy potem i brudem skóra nie spełnia tego co powinna i człowiek musi na zdrowiu podupadać. Dlatego dbać powinniśmy o czystość całej naszej skóry. A przedewszystkiem dbać powinniśmy o czystość rąk naszych, bo temi sporządzamy pokarmy, dotykamy ust, oczu i innych ważnych organów, które przez brudne ręce mogą się zanieczyścić i podledz chorobie. Ileż razy przeniesiono ciężkie zapalenie oczu przez potarcie brudnym palcem, ileż chorób żołądka można przypisać spożyciu brudnemi rękami przyrządzanych pokarmów.

Nie mając pod ręką dostatecznej ilości czystej wody, nie możemy nawet myśleć o prawdziwej czystości, a bez czystości — nie ma zdrowia.

Przystępujemy wreszcie do ostatniego warunku utrzymania zdrowia w należytym stanie, t. j. do odpowiedniego odżywiania naszego organizmu, czyli inaczej do właściwego dostarczania

pokarmów. Gdy ziemia jałowa — nic się na niej nie urodzi, gdy człowiek ma mało lub złe jedzenie, nie będzie zdrów, ani silny, Co i jak jeść należy powiemy w następnym numerze.

K. Bujwidowa.



Wspomnienia z wycieczki.

Już na austryacko-pruskiej granicy z bólem serca pożegnać musiałem ukochane dźwięki ojczystej mowy, która ustąpiła miejsca wszechwładnie rozpanoszonej niemczyźnie. Wszystkie napisy w języku niemieckim; służba urzędowa mówi tylko po niemiecku. Mój Boże! trudno sobie uprzytomnić, że te ziemie nietylko poza granicą, lecz hen daleko aż poza Wrocław — a na północ aż do morza samego, do Polski niegdyś należała. Taka jest zewnętrzna przynajmniej szata ziemi śląskiej. Bądź co bądź czyni to na podróżującego w tamtych stronach Polaka przygnębiające wrażenie.

Tak usposobiony przybyłem do Wrocławia na Śląsku górnym. Tu na parę godzin przerwałem dalszą podróż, celem poznania tego miasta, które dziś wprawdzie zupełnie zniemczone, było jednak niegdyś polskiem miastem. Dziś Ślązacy wogóle przychodzą do upamiętania, a osoby wpływowe budzą lud do nowego życia narodowego. Sam Wrocław odznacza się pięknemi budowlami i czystością.

Jeszcze wieczorem tego samego dnia opuściłem Wrocław i przez Poznań, Gniezno i Toruń w dalszą do Prus zachodnich wybrałem się podróż.

Prusy zachodnie czyli Królewskie należały od wieków do polskich królów i dlatego właśnie nazywają się po dziś dzień Królewskiemi. Z czasem jednakże niewierni książęta niemieccy, którzy dotąd hołd składać i wierność Polsce przysięgać musieli, założyli osobne królestwo pruskie i od Polski zupełnie się odłączyli. Później zaś niejednokrotnie nawet przeciw Polsce występując, znaczną częścią ziem polskich zawładnęli. Całe więc Prusy zachodnie to polska ziemia, a na tej polskiej ziemicy polska mieszka ludność, która tak samo jak my polską porozumiewa się mową. Sporo tu jednak niestety i Niemców, których przodkowie za dawnych dobrych w Polsce czasów w niej się osiedlili i za polską Ojczyznę krew przelewali; gdy się jednak dobre czasy zmieniły na gorsze dla nas, gdy nieszczęśliwą naszą polską Ojczyznę na trzy rozdarto kawały, oni pod nowymi niemieckimi rządami zdradzili sprawę swych ojców i są nam też zarówno z innymi najzaciętszymi wrogami. Oj tak! na tych ziemiach polskich szumi i rozwielmożnia się coraz więcej butny żywioł niemiecki; kosztem rządu berlińskiego osiedlają się na tej polskiej ziemi zacięci wrogowie narodu naszego, ujmując przemysł i handel w swe ręce. Bogaci właściciele ziemscy to w znacznej części Niemcy luterskiego wyznania, którzy w swej zaciekłości do wszystkiego co tchnie duchem polskim do tego doprowadzają, że nawet wszystkie nazwy polskich miejscowości na niemieckie przerabiają. Wioski z małymi wyjątkami są czysto polskie, gdyż lud tamtejszy gorąco kochający swą wiarę, mowę i ziemię rodzinną, zniemczyć się nie daje. Jest on też nader pracowity, oświecony, trzeźwy i w sprawie narodowej uświadomiony. Nie masz tam domu ubogiego nawet wyrobnika, w którymby polskiej nie czytano gazety. Najwięcej rozpowszechnioną jest tam *Prawda* z Poznania, znakomite pismo, serdecznie sprawy narodowej broniące i niezmiernie przytem tanie a również *Gazeta gdańska*, *Gazeta toruńska*, *Gazeta grudziądzka* i wiele innych. Wszystko garnie się ochoczo do oświaty.

Zauważyłem, że w Niemczech ustawy o opilstwie nader surowo są przestrzegane, to też tam lud jest daleko trzeźwiejszy niż u nas, ale bo też tam karczem nie trzymają żydzi, którzy lud rozmyślnie rozpijają.

Powiedziałbym, że lud polski w Prusiech pobożniejszy jest niż galicyjski. Chętnie przypatrywałem się modlącym tłumom w Poznaniu, zdało mi się, iż ludzie ci w modlitwie i służbie Bożej zapominają o uciskach i prześladowaniach od Niemców doznawanych, ulgę niejako i lekarstwo w nich znajdując.

W powrocie bawiłem przez 1 dzień w Toruniu a przez 3 w Poznaniu.

Duże, piękne i gwarne miasto Toruń leży nad Wisłą, 25 mil (175 klm.) od Warszawy, tuż nad moskiewską granicą, w polskiej ziemi Prusach zachodnich. Ożywione to, ale dziś znacznie zniemczone miasto, sławne jest tem, że w niem urodził się na cały świat znany i ceniony polski astronom Mikołaj Kopernik, który pierwszy dowiódł, że nie słońce koło ziemi, ale ziemia koło słońca się obraca. Siedem miast niemieckich chce nam ten zaszczyt posiadania wielkiego uczonego wydrzeć, twierdząc, że w jednym

z nich urodził się Kopernik i że on był Niemcem. Widziałem piękny jego pomnik w Toruniu z napisem w języku łacińskim. Obok tego pomnika zauważyłem tłum polskich galicyjskich robotników oczekujących pracy.

Z Torunia na południowy zachód, prowadzi kolej do najstarszej ziemi polskiej do Wielkopolski, która się dziś Księstwem Poznańskiem nazywa. W tej to ziemi leży Gniezno; niegdyś wielka i sławna, bo pierwsza pogańskiej jeszcze Polski stolica, dziś liczy zaledwie 20 tysięcy mieszkańców, w tem większość 13 tysięcy Polaków.

Dojeżdżamy wreszcie do dużego miasta poskiego Poznania. W spaniałej katedrze arcybiskupiej można oglądać grobowiec dwóch wielkich królów polskich: Mieczysława I. i Bolesława Chrobrego. Katedra poznańska przed kilku laty została pięknie odnowioną. Godnym widzenia tam jest też teatr polski, kościół zwany „farny“ i zakład olbrzymi dla głuchoniemych, gdzie 300 dzieci nieszczęśliwych rok rocznie uczy się świat Boży poznawać. Poznań trzyma się do dziś dnia najdzielniej i ze wszystkich miast polskich pod pruskim zaborem najsilniejszy niemczyźnie stawia opór; Polacy mają tu zarówno piękne i bogate jak Niemcy sklepy, a nawet zdają się przeważać; pod tym względem góruje Poznań bardzo nad Toruniem. W ogóle całe Poznańskie okazuje niezmiernie wielką odporność, hart i siłę w bezustannej walce z nawalnicą niemiecką.

Przez Wrocław i Opole dostałem się napowrót do Granicy, gdzie już urzędnik austryacki cłowy po polsku mnie zagadnął, co mi wiele sprawiło radości. *F. M.*



Do Czytelniczek „Przodownicy“ w Bottropie.

Podczas gdy przeszłego roku *Przodownicę* tu w Bottropie czytało zaledwie kilka kobiet, jest już dzisiaj jej Czytelniczek dość liczny zastęp, do których zwracam się z gorącem zaleceniem, żebyście tę gazetkę nietylko same pilnie czytały, lecz też jeszcze innych do czytania *Przodownicy* namawiały, gdyż to wasza najlepsza przyjaciółka, ona wam służy rozmaitemi radami i poucza was jak to w gospodarstwie postępować trzeba, daje wskazówki co do wychowania młodego pokolenia tu na obczyźnie wśród nieprzyjaznych nam ludzi... a wreszcie podaje wam wiadomości i opisy z naszych ojczystych stron, uczy kochać co polskie — jednem słowem, stara się być waszą najwierniejszą przyjaciółką. To też w zamian za to odwdzięczcie się *Przodownicy* tem, że ją będziecie ze skutkiem polecać swym znajomym, boć na czytaniu jeszcze nikt nie stracił, owszem zyskać tylko można. Półroczna prenumerata wynosi 50 fen. więc jest tak bardzo niską, że każda kobieta może ją zaabonować, a niechby każda kobieta, która już *Przodownicę* czyta, zjednała jej choćby tylko jedną nową czytelniczkę, byłoby nam lepiej.

Więc czytajcie i rozpowszechniajcie *Przodownicę* wśród znajomych.

Z pozdrowieniem, wam życzliwy

jeden z Bottropian.



LATO.

Pogodne słoneczko na zachód się zniża
Liście z drzewa lecą, lato się przybliża;
W wieńcu przeplatanym jabłkami, gruszkami
Już lato, latenko staje przed wrotami
— Cóż odemnie chcecie, alboż to wam mało?
Przyniosłam wam zboże, co w polu bujało;
Przyniosłam maliny i słodkie jagody,
Makiem, stokrociami barwiłam ogrody.
I cóż więcej chcecie? powiedzcież mi na to:
Dobreś ty latenko, Bóg ci zapłać za to!

T. Lenartowicz.

Tak to chwali się lato i dopomina się naszego podziękowania, a przyznać każdy musi, że jest za co dziękować. Wszak lato dopiero ziszcza te nadzieje, jakie rodzi wiosna i hojną ręką rozsypuje swoje dary. Nie mówiąc już o zbożu, które w złocistych kłosach swych zawiera najbogatszy plon lata, toć gdziekolwiek okiem rzucisz, gdziekolwiek nogą stąpniesz, gdziekolwiek rękę wyciągniesz, wszędzie napotkasz na skarby, które lato rozsypało dla naszego użytku.

Wyjdziesz przed dom a tu lipa, którą może pradziady twoje sadzili, nachyla gałęzie, obsypane gęsto złotem, pachnącem kwieciem; a dalej w ogródku czereśnia aż pochyliła się od ciężaru mnóstwa czerwonego pyzatego owocu. Na wiśniach zaś ani liści nie widać, tak oblepione czarnemi

lśniącemi groszkami jagód. A niedaleko na miedzy stojąca stara grusza wstydzi się, że ją młodsze wiśnie i czereśnie wyprzedziły — wyciąga więc gałęzie ku słońcu, aby czemprędzej ozłociło i zrumieniło jej owoce. Niżej zaś potulne maliny i świętojanki, rozchylaje gałązki i odsłaniają swoje czerwone, śmiejące się korale — nawet zły i kolczasty agrest nie zdoła ukryć swych pękatych kulek. Hej co tu bogactwa! Toć aż wróble z całej okolicy zlatują się tu na ucztę, łakomie kosztują ze wszystkiego a ćwierkają z uciechy, aż się rozlega po ogródku.

A kiedy dalej wyjdziemy w pole, tam znowu rozkładają się po wzgórzach i miedzach rozliczne zioła pachnące; to rozchodnik, dobry na maść gojącą, to macierzanka, to rumianek, mięta, tysiącznik i tyle, tyle innych — ot! tylko nazbierać, ususzyć, a już przez rok cały do apteki grosza zanieść nie będzie potrzeba. A znajdzie się wśród tego i karólek czyli kminek, do chleba i sera niezbędny i koperek do kapusty, a pomiędzy tem wszystkiem plączą się jeżyny a na nich znowu jędrne czarne a soczyste jagody.

A już prawdziwa rozkosz nas czeka, gdy wejdziemy w las ciemny! Toćże tam z pod każdej kępki traw, z pod każdego krzaczka śmieją się do nas to borówki lub maliny; a kwiecia różnego, a grzybów rozmaitych, ot poprostu skarby, bogactwo! A wszystko to, aż samo prawie prosi się, żeby je zrywać i zbierać jak owej dziewczynie co to:

Po brzozowym cichym lesie
Dziewczę idzie dzbanek niesie,
Niesie dzbanek z jagodami
Z jagodami, borówkami.
O dla Boga, co się dzieje,
Kto się śmieje? Las się śmieje.
Kłaniają się przed nią drzewa,
Ona śpiewa i las śpiewa:
— Danaż moja, dana, dana,
Jagódeczko pójdź do dzbana!
Jest ich latoś, co nie miara;
Dziwuje się matka stara
Że jak tylko w gaik wpadnę
Wnet borówki niosę ładne.
A ja wcale się nie silę
Wszędzie pełno, gdzie się schylę,
Rumienią się wkoło przy mnie
I wołają: weźże i mnie,
I ja świeża, i ja świeża.
I już dzbanek po wybrzeża.

T. Lenartowicz.

Wszystkie te śmiejące się jagody, wszystkie te zioła pachnące, te jabłka i gruszki pyzate, jakby wiedziały, że ich Pan Bóg nie stworzył ot tak, tylko dla parady, ale że przeznaczeniem ich jest służyć ku pożytkowi ludziom. Dlatego to one tak nęcą ku sobie nasze oczy, tak drażnią nasze powonienie, tak łechcą nasz smak, abyśmy nie omijali ich przecie, tylko abyśmy z chęcią z tych darów Bożych korzystali.

I jakiż może być najlepszy użytek z tych bogactw, jakie nam lato tak rozrzutnie ofiaruje? Czyż tylko zrywać mamy kwiatki i wąchać je, bo ładnie pachną, a jagódki, wiśnie, gruszki i inne owoce zjadać, bo słodkie? O co nie, to nie! Taki chwilowy użytek robią z tych skarbów motylki i ptaszki i im to wolno: motylki życie mają krótkie, nie dziw, że szukają tylko słodyczy, latając z kwiatka na kwiatek; ptaszęta zaś, także o przyszłości myśleć nie potrzebują, bo kiedy skończą się tutaj smaczne uczty, polecą w inne cieplejsze kraje, gdzie im natura znów świeże uczty przyrządza i zastawia.

Człowiek jednak obdarzony od stwórcy rozumem wie, że po rozrzutnem lecie, po bogatej jesieni, przyjdzie twarda i skąpa zima.

Poeta nasz Jan Kochanowski w hymnie, w którym wielbi dobroć Boga, mówi:

Przez Ciebie to rozliczne kwiaty wiosna rodzi,
I przez Ciebie w kłosianym wieńcu lato chodzi,
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.

Otóż w tem właśnie jest rzecz, żeby ta gnuśna a twarda i skąpa zima wstała „do gotowego“. Żeby zastała w sklepach i komorach zapasy obfite.

A komuż to gromadzić te zapasy, jeżeli nie gospodyniom?

Mianowicie Czytelniczki *Przodownicy*, które przecież obiecały sobie pracować tak, aby o nich powiedziano, że: „gospodarz tyle nie przywiezie furą, ile gospodyni przyniesie fartuchem“ otóż te skrzętne gosposie, nagromadzą z pewnością zapasów tych do komory tyle, że nikt z domowników nie uczuje okrucieństwa i skąpstwa zimy. A zapasów tych dostarczy im owo rozrzutne lato, gdzie to „co krok, to kwiatek, co krok to jagoda“, dostarczy ich także bogata jesień gdzie to:

Jesienią, jesienią, sady się rumienią
Czerwone jabłuszka pomiędzy zielenią
Czerwone jabłuszka, złociste gruszeczki
Świecą się jak gwiazdy pomiędzy listeczki.

Zatem skrzętne gospodynie przedewszystkiem nazbierają i nasuszą owych ziół i kwiatów pachnących, aby z nich był poratunek w chorobie, czy domowników, czy bydełka.

Następnie skrzętne gospodynie nasuszą przeróżnych owoców, zapas wielki, bo zima długa, a zupa z owocu suszonego bardzo smaczna z kluskami albo ziemniakami, to choć na królewski stół ją podawaj.

Skrzętne gospodynie narobią też powideł i syropu — dobra to i pożywna omasta na chleb. Z delikatnych a soczystych owoców można też przyrządzać soki. W czasie gorąca wśród pracy żniwnej, kubek źródlanej wody z sokiem owocowym, zastąpić może choćby wino. Ba, boć nawet i wino, prawdziwe wino robić można z owocu! Kochana nasza *Przodownica* wie z pewnością wszystkie sposoby na one wina, soki, powidła i inne smakołyki, poprośmy, a poda nam je z chęcią. A gdy sklepy nasze i komory napełnimy różnemi sądkami, faskami, garnkami, to wtedy ze spokojem oczekiwać możemy choćby najsroższej i najdłuższej zimy, a za to z wdzięcznością wznosząc myśl do Boga z głębi serca zawołamy:

„Czego chcesz od nas Panie za twe hojne dary
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?"

Janina O.

W lipcowym numerze podajemy Wam, drogie Czytelniczki, przepisy gospodarskie na porę letnią, bardzo bogatą w owoce, jarzynę i jagody, abyście te dary Boże należycie wyzyskać mogły i umiały, czy to dla swych rodzin, czy to na sprzedaż dla zebrania trochę grosza na przyodziewę zimową lub inne potrzeby. Setki tysięcy koron wysyłamy za granicę za same tylko suszone owoce, grzyby marynowane, soki, konfitury i t. d., które, gdyby w kraju pozostały za wyrób nasz, za wyrób gospoś wiejskich, grosz ten wzbogaciłby niejedną rodzinę i dał sposobność do ulepszenia gospodarstwa, sprawienie potrzebnych, ułatwiających pracę narzędzi, do zakupienia sobie książki pouczającej o prowadzeniu należytego przemysłu domowego wiejskiego, do trzymania pisemek, a znalazłoby się groszy trochę i na utkanie cieńszego zgiełka-kilimka a i dla dzieciaka na ładną wstążkę, książeczkę z obrazkami.

Wierzcie drogie Czytelniczki, że za granicą w Szwajcaryi, w Belgii i innych krajach wieśniaczki za swój przemysł gospodarczy, który z umiejętnością prowadzą, utrzymują nieraz całą rodzinę. Dzieci swe posyłają do szkół, w każdej chacie znaleść tam można bogactwo przyodziewy i pościeli. Spiżarnie, piwnice pełne rozmaitej żywności. A dla uprzyjemnienia trzymają po kilka pism rozmaitych, książki zakupują. I u nas tak być może. Ażeby dzieciakom, ojcom, mężom i całej rodzinie lepiej było, od nas kobiet zależy. Pamiętajcie sobie drogie Czytelniczki, że Pan Bóg wielkie dał nam posłannictwo tu na ziemi, oddał nam władzę wychowywania młodych pokoleń. Obowiązkiem więc naszym nietylko go wyżywić, ubrać i posłać do szkółki, ale dobrego i użytecznego Ojczyźnie stworzyć obywatela, któryby przez swą umiejętność czy zawodową, czy gospodarczą był użytecznym swoim i krajowi, a te trudy i pracę miał należycie opłacone dostatkiem i zadowoleniem. Środkiem do spełnienia tych obowiązków to praca i nauka. Należy nam się uczyć, wszelkie dobre rady przyjmować a nie odrzucać i uczyć się coraz więcej i dobrym przykładem świecić swej rodzinie, czeladzi, sąsiadkom!

Wstępne uwagi do gotowania owoców.

Do gotowania owocu należy mieć osobne naczynie, którego się do niczego innego nie używa. Najlepsze są kamienne lub gliniane rądle. Nigdy nie trzeba owocu gotować w żelaznych garnkach z popękaną wylewą, owoce zmieniają swój piękny naturalny kolor jakoteż smak i mogą nam być wprost szkodliwymi.

Jabłka w łupinie pieczone. Jabłka ułożyć na blachę ogrzaną w kuchni, nakryć je miską lub rądlem, od czasu do czasu zajrzeć i przewrócić, aż się przepieką; gdy dobrze ostygną, podać na stół. Również dobrze upiec można jabłka w rurze od pieca.

Jabłka na gąszcz. Jabłka (1 litr = 2 funty) opłukać, obrać, pokrajać w kawałkach aż do środka, włożyć do glinianego rądla, zalać wrzącą wodą (1 i pół filiżanki), dodać 2 łyżki cukru, dusić 25—40 minut i wyłożyć na miskę, aby potrawa wystygła. Niektóre rodzaje jabłek należy dłużej, niektóre króciej warzyć.

Śliwki (świeże). Śliwki obmyć zimną wodą, porozkrawać, wyjąć pestki, włożyć do rądla glinianego, zalać wodą, dodać cukru (na 1 litr = 2 funty śliwek, filiżankę wody i 2 łyżki cukru) i dusić przez 25—30 minut; po należytem ostygnięciu podać na stół.

Pigwy. Pigwy obrać z łupin, pokrajać na 4 części, powyjmować ziarna, uwarzyć na miękko w małej ilości wody, a dużej ilości cukru (na 1 litr czyli na 2 funty bierze się 5—6 łyżek); osobno gotować wyjęty poprzednio ośrodek jakoteż zarazem łupiny, poczem sok, w ten sposób otrzymany, dodać do uwarzonych pigw.

Agrest. Dojrzały agrest obrać z czubków i ogonków, obmyć i warzyć z małą ilością wody na słabym ogniu, dodawszy odpowiednią ilość cukru.

Przyrządzając agrest niedojrzały należy dodać znacznie większą ilość cukru, mniej więcej 6 łyżek na 1 litr czyli 2 funty.

Poziomki. 1) Obrać poziomki z ogonków, posypać cukrem, dać im trochę naciągnąć a potem podać na stół jako kompot.

2) Poziomki cukrem posypane włożyć w szklankę z szeroką szyjką; szklankę zakorkować lekko lub zakryć stosowną pokrywką, wstawić w głęboki rądel z letnią wodą i warzyć w ten sposób na dobrym ogniu, uważając, aby nic wody nie wpłynęło do szklanki. Dla chorych można poziomki, w ten sposób uwarzone, jeszcze przetrzeć przez sito, dla odłączenia drobnych ziarnek.

Morwy. Po wybraniu i obmyciu dodać rozpuszczonego cukru i cokolwiek soku cytrynowego i warzyć przez kilka minut na słabym ogniu.

Czarne jagody. Wybrać, obmyć, czarne jagody i warzyć w małej ilości wody z dodatkiem cukru na słabym ogniu, aż zmiękną, ale jeszcze nie rozpadają.

Jagody głogowe. Świeże lub suszone głogówki po wybraniu i obmyciu uwarzyć na miękko na słabym ogniu, w kamiennym rądlu, w małej ilości wody z dodatkiem cukru — w końcu dodać na 1 litr = 2 funty garść wielkich rodzynków lub sułtanek, uwarzyć wszystko na miękko i odstawić, aby wystygło.

Owoce zawarzane (konserwy).

Chcąc owoce zawarzyć, aby je na dłuższy czas przechować, czyli konserwować, nie należy ich gotować w naczyniach, w których przedtem się znajdował jakibądź tłuszcz. — Najlepiej używać tylko naczyń kamiennych, w których poprzednio się zastawia na ogniu wodę i da się jej porządnie wygotować. Łyżki, cedzaki itp. (najlepiej porcelanowe) powinny także być zupełnie czyste; również na blasze nie trzeba wtenczas nic innego gotować, gdyż owoce naciągnęłyby tem; wogóle zachować należy przy zawarzaniu owoców najściślejszą czystość.

Owoc, mający być zawarzony i przechowany, powinien być należycie wybrany: dojrzały, ale przytem niezbyt miękki, bez plamek czarnych i możliwie świeżo urwany. Szklanki lub butelki powinny być dobrze wypłukane a następnie osuszone; korki powinny być nowe i w gorącej wodzie sparzone. Uważać należy w końcu także na to, aby konserwy ustawiono na miejscu chłodnem, suchem i przewiewnem, aby nie wpływały na nie ani promienie słońca ani też mróz.

Najprostszy i najlepszy sposób konserwowania owoców jest zawarzanie ich we własnym soku.

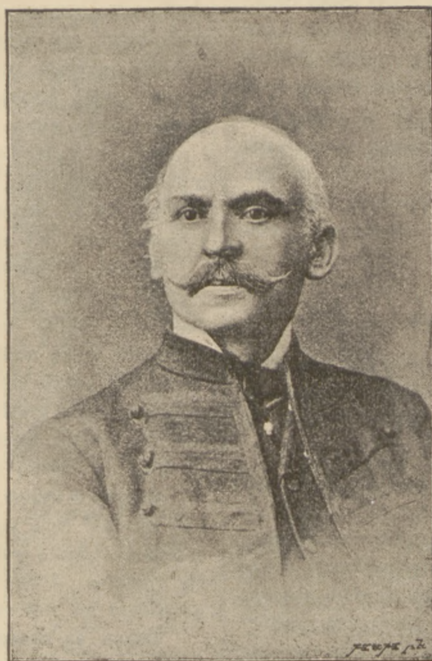
Do owoców tak przyrządzonych nie potrzeba żadnego cukru dodować. Do tego używać można zwykłe kotły, które wyściela się zwykle słomą.

Prócz tego zawarzyć można owoce w cukrze. Najlepszym do tego jest niezawodnie brunatny cukier lodowaty (Kandis), jednakowoż należy go także oczyścić a mianowicie w ten sposób: W szerokiem naczyniu kamiennem lub dobrze emaliowanem rozpuścić cukier w stosownej ilości wody na równym ogniu, wytwarzające się szumowiny zbiera się łyżką (najlepiej porcelanową lub nową drewnianą). Cukier ma trzy różne stopnie w gotowaniu:

1-szy stopień: „Syrop“ czyli cukier gęsto zagotowany; skoro cukier gęstnieć poczyna, spada on z łyżki szeroko napowrót w kroplach.

2-gi stopień: „Do nitki“ następuje zwykle już po 10 minutowem dalszem gotowaniu; gdy teraz łyżką podniesiemy cokolwiek gotującego się cukru, rozciąga się reszta syropu spadającego z łyżki w nitkach wiśnych, u których na dole tworzy się mała przeźroczysta perełka. — Można go też wziąć na widelec i dmuchnąć poczem się pojawią także cienkie nitki. Po dziesięciu minutowem dalszem gotowaniu przechodzi cukier w „konserwę“ czyli 3-ci stopień: rozciągnięte nitki tak są teraz spoiste, iż tworzące się większe perły cukru z łyżki już nie spadają. Kropla zgęszczonego gorącego cukru, wzięta na nóż i włożona w zimną wodę, powinna tężeć a jednak być wilgotną. Otóż stopień stosowny do zwarzania owoców.

Prócz tego odróżnia się jeszcze 4-ty stopień: „Karmel“ czyli cukier zrumieniony, który służy do zakolorowania różnych sosów, jako też zlepiania ciasta, piramid i t. p.



TEOFIL LENARTOWICZ.

Wiśnie zawarzone w cukrze. Wybrane i omyte wiśnie (najlepiej bez pestek), włożyć w cukier, sklarować jak wyżej podano do 3-go stopnia (na 1 kg. czyli 2 funty wisien bierze się zwykle trzy ćwierci kg. czyli 1 i pół funta cukru) gotować przez 10 minut, zbierając szumowiny, poczem wybrać wiśnie łyżką dziurkowaną. Następnie zagotować cukier znowu aż do 3-go stopnia, znowu włożyć tam wiśnie, gotować 10 minut, w końcu włożyć wszystko w szklanki lub garnki napełnione cokolwiek nad trzy ćwierci, nakryć czystym papierem i postawić na stronę, aby ostygły; następnie nakryć naczynia papierem pergaminowym, obwiązać szpagatem, pociągnąć tak papier jak obwiązkę pokostem (firnisem) i ustawić naczynia na miejscu chłodnem i przewiewnem.

Świętojanki zawarzane w cukrze. Świętojanki przyrządzić tak jak wiśnie (patrz wyżej) z tą różnicą, że

gotuje się je najpierw w cukrze 1-go stopnia a potem znowu w cukrze 2-go stopnia.

Śliwki zawarzane w cukrze. Przyrządzać tak jak wiśnie (patrz wyżej) z tą różnicą: warzyć śliwki najpierw w cukrze 1-go stopnia, wyjąć, zalać cukrem 2-go stopnia i pogotować przez 20—24 godzin, nareszcie zagotować w cukrze 3-go stopnia.

Zielona fasolka w cukrze. Zupełnie młode strączki (bez włókien) gotować na miękko w solonej wodzie, poczem wyłożyć na cedzak, aby osiąkły. (Otrzymanego wywaru nie wylewać, ale zrobić z niego zupę itp.) Zagotować cukru na wylot, włożyć weń strączki fasolkowe, gotować przez 5 minut, wyjąć, włożyć w czyste naczynie i zalać owym cukrem. Na drugi dzień odlać sok do rądla, zagotować, włożyć znowu strączki i gotować przez 5 minut; następnie wyjąć, cukier jeszcze cokolwiek wygotować i znowu wlać na fasolę. Tak samo robić jeszcze raz w dniu trzecim; po uwarzeniu i wyjęciu strączków, zagotować cukier ostatni raz i zalać nim strączki, gdy wszystko ostygło, zakryć garnek z konserwą papierem pergaminowym, obwiązać szpagatem i zachować na miejscu chłodnem i przewiewnem.

Galarety owocowe.

Galarety sporządzone wedle następujących przepisów są w smaku bardzo przyjemne, ale tylko miernie słodkie. Kto zatem lubi słodsze, powinien jeszcze $^1/_2$ części cukru zawsze dodać.

Galareta porzeczkowa (świętojańska). 5 funtów dużych świętojanek dobrze omyć, wynieść je z wody i wrzucić (nieobrane z łodyżek) do rądla kamiennego; wody żadnej nie potrzeba nalewać, gdyż mokre są dosyć od wody, którą je omyto. Gdy się na ciepłem miejscu zagrzały, należy je zagotować; skoro się zaczną „perlić“ wylać je w szeroki i głęboki cedzak lub sito (ale nie metalowe) i sok przecisnąć, Pozostałe w cedzaku części wyłożyć w miskę lub garnek, zalać $^1/_4$ litr. ($^1/_2$ kw.) wody, przemięszać, jeszcze raz przecedzić i dodać do otrzymanego pierwotnie soku. Wszystek sok można jeszcze raz przecedzić; następnie zastawić na ogniu a po zagotowaniu dodać $1^1/_2$ funta dobrego twardego cukru w kawałkach; aby galareta była klarowaną, można od czasu do czasu podczas gotowania szumowiny zebrać. Po 3—$3^1/_2$ godzinnem równomiernem warzeniu jest galareta gotową do napełnienia w szklanki, które należy poprzednio potrzymać otworem nad parą, aby więcej ciepłoty nabrały i nie pękły — teraz wlać można galaretę dosyć gorącą w szklanki; po ostygnięciu zawiązać szklanki z galaretą papierem pergaminowym i ustawić je na suche, chłodne i przewiewne miejsce, do którego ani promienie słońca ani mróz nie dojdzie.

Galareta, w ten sposób przyrządzona, ma śliczny kolor klarowny, ciemno-czerwony, smakuje wybornie, i użytą być może zarówno do tortów lub innego pieczywa, jakoteż na chleb zamiast masła.

Galareta jeżynowa. Biorąc na 6 funtów jeżyn 1 funt cukru, sporządza się zupełnie wedle poprzedniego przepisu. Podobnie robi się galaretę z malin, poziomek, wiśni i t. p.

Galareta agrestowa 5 funtów agrestu i $1^1/_2$ funta (750 gr:) cukru przyrządzić tak jak na galaretę porzeczkową. Zupełnie tak samo przyrządza się galaretę z czarnych jagód i żorawin.

Grzyby.

Grzyby, jak twierdzi Dr. Czarnowski w *Przewodniku zdrowia*, są zdrowe i pożywne, tylko trzeba się znać dobrze na wszystkich gatunkach i nie używać do jedzenia grzybów trujących. Naprzykład r y d z e radzi w ten sposób przyrządzać, a będą bardzo smaczne. Rydze należy wybrać, dobrze z piasku obmyć, obrać i warzyć w małej ilości trochę osolonej wody, potem zaprawić zasmarzką, wcisnąć soku z jednej lub dwóch cytryn, dodać drobno usiekanej pietruszki i podać z ziemniakami lub chlebem.

Grzyby (borowniki, maślaki) pokrajać, omyć i warzyć na miękko z zieloną pietruszką i siekaną cebulą. Następnie osolić, dodać nieco masła i zrobić miazgę dodawszy łyżkę mąki pszennej, żarnowej lub razowej. Ziemniaki gotuje się w łupinach, potem obiera, kraje, mięsza z masą grzybową Gdy jeszcze raz się wszystko razem zagotuje, trzeba jakiś czas przed jedzeniem potrzymać na ciepłej blasze.

Grzyby z ryżem. Wybrane, obmyte grzyby (najlepiej zielonki czyli gąski) pokrajać i warzyć z kilkoma cebulami. Czysto wypłukany ryż wsypać do gotujących się grzybów, dodać rumianego masła i dobrze przed podaniem na stół razem pomięszać.

Dobre są również grzyby z jagłami, które gotuje się w ten sposób: Grzyby na miękko uwarzyć, dodać do nich poprzednio sparzonych jagieł, rumianego masła, dobrze pomieszać — raz wszystko razem zagotować i jeść.

W następnym numerze podamy przepisy na potrawy rozmaitego rodzaju z rzepy gotowanej i innych jarzyn.

Bardzo pożywną jarzyną jest szpinak, który w ten sposób się przyrządza: Szpinak n i e z a w y s o k i (nie rozkwitły) obrać z korzonków i nieczystości, wypłukać w k i l k u wodach i wrzucać na wrzącą wodę, cokolwiek osoloną i dusić go 15 do 20 minut. Gdy już miękki, wyłożyć go drewnianą łyżką z rądla w cedzak, postawiony na garnku czystym i próżnym, by do tego garnka sok ze szpinaku ociekał. Gdy sok należycie ocieknie, wyłożyć go na czystą deskę i drobno posiekać. Zarumienić lekko łyżkę masła z małą łyżką mąki lub tartej bułki, dodać do tego ocieknięty sok szpina-

kowy i zmieszać ze szpinakiem posiekanym. Wszystko razem potrzymać na wolnym ogniu 5 do 8 minut i podać do jedzenia z ziemniakami lub suchemi grzankami.

W ten sam sposób można przyprawiać szpinak z *pokrzywy*, która jest bardzo zdrową jarzyną. Zrywa się ją przez szmatkę, aby rąk nie poparzyć, ale zrywać trzeba pokrzywy młode. Pokrzywa oprócz tego, że jest bardzo pożywną, jest bardzo zdrową a nawet w niektórych razach leczniczą.

Można robić szpinak w ten sam sposób z łobody, ze szczawiu, eudywii czyli szczerbaku ogrodowego, z portulaki czyli tak zwanej pospolicie *kurzej stopy*.

Przepis — jak robić zupę owsianą, kaszę owsianą, piwo owsiane i skibki owsiane, podawałyśmy w *Przodownicy* Nrze , a sposób wyrabiania win w Nrze z r. 1900.

Jeszcze o jarzynach — pisze *Przewodnik zdrowia*! „Po owocu warzywo (jarzyny) ma najwyższą wartość spożywczą, bo wzrasta także w słońcu. Są one dla człowieka najodpowiedniejszym pokarmem. Tak samo jak owoc po największej części w surowym stanie pożywane być mogą. Jarzyny zawierają przedewszystkiem wiele cząstek tworzących *krew i kości* i dlatego mają wielką wartość *leczniczą*. *Jednakowoż nie trzeba jarzyn nigdy moczyć, ani parzyć, ani odlewać pierwszej wody, w której się gotowało*, gdyż przez to tracą najważniejsze części pożywienia.

Im *mniej* wody bierze się do gotowania jarzyn, tem są smaczniejsze i posilniejsze. Warzywa gotować należy w naczyniach szczelnie zamkniętych — parą, tylko z dodatkiem trochy masła, a podać z chlebem razowym. Kiszone jarzyny, jako to: ogórki, kwaśna kapusta są bardzo pożywne. Jarzyny można przechowywać w chłodnem, przewiewnem miejscu, albo nasuszone ze świeżego warzywa na zimę. Jarzyny świeże suszy się na słońcu, wpierw jednak drobno pokrajane i dobrze opłukane i otarte z brudu i kurzu być muszą.

Jarzyny suszone stanowią już artykuł handlowy. Sprzedawać je więc można na rynkach, w sklepach spożywczych. Dotąd suszone jarzyny, owoce mamy sprowadzane z obcych krajów i za to dużo pieniędzy idzie do rąk cudzoziemców, gdyż u nas nikt specyalnie tem się nie zajmuje. Z jarzyn można wyrabiać smaczne bardzo i pożywne powidła, jako to: z marchwi, dyni itd.

Ponieważ jarzyny wzrosłe na mierzwie (gnoju) mniej są smaczne, dlatego najlepiej do jarzyn namięszać próchnicy czyli humusu, popiołu (jeżeli można) lub innych odpadków ziemnych (kompostu).

Dynię można w rozmaity sposób przyprawiać i używać: a więc *z jagłami*. Po sparzeniu jagieł gotować je krótko, zmieszać z miękko poprzednio ugotowanymi kawałkami dyni, dusić razem i dodać zarumienionego masła.

Można także sparzone jagły uwarzyć na mleku, osłodzić, dodać kawałki dyni, dusić wszystko razem, aż dynia miękką będzie.

Dynię w ten sam sposób warzyć można z ryżem.

Jarmuż ale dobrze kędzierzawy — również smaczny i dobry, przyprawia się jak szpinak. Jarmuż można jeść z jabłkami, z ziemniakami, z kaszką owsianą.

Bardzo dobra potrawa: rzepa z ziemniakami. 5 do 9 słodkich rzep pokrajać i dusić z jedną szklanką wody, następnie włożyć na wierzch sześć rozkrojonych ziemniaków. Osolić, dodać masła i dusić w parze na miękko.

Brukiew z ziemniakami, *marchew* z perłową kaszą, ze *śliwkami suszonemi*, z *grochem*.

Jarzyna z liści rzewnia (rabarbaru) jest bardzo smaczna, przygotowuje się ją tak samo jak szpinak.



Wina owocowe.

Z rozmaitych jagód da się robić wino, zdrowsze i smaczniejsze od kupnych tanich win, które niesumienni fabrykanci często fałszują sztucznemi zaprawami; a więc powinni gospodarze i gospodynie sami sobie wina w domu robić, a oszczędzą grosza i żołądka nie nadwerężą lichymi wyrobami zagranicznymi. Lasy nasze rodzą ogromną ilość borówek czyli czernic, również ostrężnic, zwanych jerzynami. Mało trudu i ziemi potrzebuje uprawa agrestu i porzeczek; zamiast żywego płotu sadzone przy ścieżkach ogrodowych, wkoło podwórka, rodzą obficie owoc, który wyborne daje wino. Nawet nadmiernie zrodzone wiśnie i czereśnie, których spieniężyć nie można, należy użyć na wino.

Zebrawszy dojrzały owoc leśny lub ogrodowy, borówki (agrest i porzeczki dojrzewają w lipcu, ostrężyny we wrześniu), należy je pognieść na miskach (porzeczki można gnieść z ogonkami) i wynieść na trzy dni do piwnicy lub chłodnej spiżarki, następnie wygniatać w worku płóciennym rękami sok do osobnego naczynia, pozostałe łupiny i ziarnka przepłukać czystą wodą, odcedzić ją i gotować w niej cukier przez pół godziny nie szumując, a bierze się litr tej wody na trzy funty cukru, do sześciu litrów soku owocowego, w który wlewa się syrop, gdy wychło-

dnie, mięszając dobrze, bo syrop jako cięższy idzie na spód. Mięszaninę tę, której będziemy mieli około 8-miu litrów, należy wlać do czystego butla szklanego lub baryłki, którą poprzednio wyparzono dobrze, umiarkować tak, aby płyn dochodził do otworu szyjki lub szponta, co ułatwia odpłynięcie kożuchów z pierwszego zakwaszenia; gdy się to uspokoi trochę, należy płyn przytkać korkiem, do którego wsunięta jest rurka szklana, a w tejże wlanych jest parę kropli gliceryny. Kwas fermentacyjny (burzący) w bańkach podnosi się ku rurce szklanej i przez glicerynę wychodzi, przez którą zaś przedostać się nie mogą muchy i pyły, które przez otwór cisnęłyby się do płynu. Rurkę taką za parę groszy dostanie w każdej aptece, należy jednak uważać, aby była przegiętą raz ku dołowi, raz ku górze, bo w przegięciu zatrzymuje się gliceryna, którąby bez tego przegięcia wpłynęła do butla.

Gdy się fermentacya (ukwaszenie) po kilku tygodniach, nawet miesiącach skończy, zagotowuje się powtórnie syrop, rachując ćwierć funta cukru a pół kwaterki świeżej wody na litr młodego wina. Potem trzeba odebrać część młodego wina do innej butli lub baryłki i obie tym świeżym syropem podolewać. Znów rozpocznie się fermentacya, a gdy się i ta skończy, można po raz trzeci dolać tak lekkim syropem jak poprzedni i czekać parę miesięcy, pamiętając, aby płyn był przytkany korkiem, w który wprawiona jest rurka szklana z wlaną gliceryną. Po roku, gdy płyn się wyszumuje, wyjaśni, należy go pozlewać do butelek suchych i czystych — zakorkować, zalakować, wynieść do piwnicy, gdzie w miarę lat szlachetnieć będzie.

Liczę na to, że zapobiegliwej gospodyni dzieci uzbierają owocu w lesie lub w ogrodzie własnym, a zatem owoc nic ją nie kosztuje — kupić musi tylko cukru, którego na 10 litrów wina potrzebuje użyć około 6-ciu funtów, co na obecną cenę nie powinno przekroczyć trzech koron. Dodać jeszcze trzeba, że powinno się ściągać do butelek przed dojrzeniem świeżego owocu, aby naczynia opróżnić i oczyścić do nowej fermentacyi.



Jak się zachowywać podczas upałów.

Ponieważ należy się spodziewać, że tegoroczne lato obdarzy nas jeszcze raz po raz szeregiem dni skwarnych, podajemy tu pokrótce przepisy, j a k s i ę z a c h o w y w a ć w c z a s i e u p a ł ó w.

A więc po pierwsze co do p o ż y w i e n i a, pamiętajmy, że przetrawianie pokarmów wywołuje we wnętrznościach naszych sporo ciepła, szczególnie zaś t ł u s z c z e. Poczuciowo też zmniejsza człowiek w dniach gorących ilość pożywienia, a za to więcej pragnie. I najzagorzalszy spożywca mięs tłustych i ostro przyprawnych, traci chęć na nie w dni skwarne, łaknąc potraw lżejszych, jarzyn, mącznych, owoców itp.

Idźmy za tym popędem, za głosem przyrody! Nie jadajmy w dni gorące tłuszczów, jak najmniej mięsa, a s p o ż y w a j m y j a r z y n y i s a ł a t y (szpinak, lebiodę, brodawnik, szparagi, rzeżuchę itp. itp.) o w o c e, r y ż, k a s z ę, k u k u r u d z ę i c h l e b.

Pragnienia nie gaśmy napojami zawierającemi alkohol, n i e p i j m y p i w a, które nie gasi przecież pragnienia — starajmy się gasić pragnienie, jedząc dużo owoców (poziomki, maliny, jagody, świętojanki, wiśnie itp. itp.), bo z niemi razem spożywamy dużo wody i to wody przekroplonej (destylowanej) w słonecznej pracowni przyrody. Skoro zaś nie wystarczą nam owoce same, pijmy soki owocowe, lub wodę ze sokiem, a szczególnie też wywary roślinne (herbatę z liści poziomkowych, malinowych, jeżynowych, krwawnikowych itp. itp.).

Zmęczeni biegiem lub wysiłkiem cielesnym n i e p i j m y nagle chłodnej wody, u s i a d ł s z y — w tym razie uciekajmy się zawsze wprzód do owoców!

Gospodynie domu niechaj zważają przy zakupnach żywności na targu i przy gotowaniu, ażeby nie przygotowywać wielkich zapasów. Tyle, że się zje wszystko. Co najwyżej przechowywać potrawy do wieczora! W czasie wielkich upałów bowiem wszystko się psuje nader prędko. Skoro zaś potrawa jakaś, czy w stanie gotowanym czy surowym, podpada nam niewłaściwym zapachem, choćby zlekka tylko zdradzającym psucie się, lub niewłaściwym wyglądem: wyrzucić ją! W rozkładających się bowiem środkach żywności w czasie upałów prędko wytwarzają się j a d y, których skutkiem bywają często silne zaburzenia żołądka, a nieraz i śmierć. W najlepszym zaś razie spożywanie niezupełnie świeżych pokarmów powoduje niedomagania żołądka, które znów narażą człowieka na inne słabości, czyniąc go mniej odpornym na ujemne wpływy otoczenia. Nie rządzić się więc względami mniemanej oszczędności, chowając „reszki“ zbyt długo — choroba przecież więcej kosztuje, niż pożywienie świeże na dzień następny!

Bardzo wygodnym środkiem szybkiego ochłodzenia zbyt rozpalonej krwi jest potrzymanie dłoni przez 1 do 2 minut w chłodnej wodzie. Oczywiście zważać trzeba, by na spoconą dłoń nie puszczać zbyt nagle ostrego prądu lodowatej wody. Wprzód potrzymać ręce w miednicy!

Kto może, niech używa prócz kąpieli w wodzie bieżącej także jak najwięcej kąpieli powietrznych w miejscu cienistem.

Ubranie na upały powinno być obszerne, przewiewne, jasne. Ciemne materye wchłaniają dużo ciepła z zewnątrz a powstrzymują przewiew. Ubranie przylegające do ciała nie pozwala występować na zewnątrz ciepłocie wewnętrznej. Sprawy te zresztą znane!

Kto musi dużo chodzić lub pracować cieleśnie, niech pamięta o tem, by w pewnych odstępach czasu dawał odpoczynek znużonym mięśniom, a objawiającej się w ustroju większej potrzebie wody czynił zadość w sposób rozsądny. Przy pracy cielesnej lepiej odpoczywać częściej, a zdoła się pracować dłużej i zrobić więcej, aniżeli spieszyć się, by wykończyć coś, nie dając ciału wytchnienia przez godzinę lub dwie. Niejeden potrafi pokazać taką „sztukę", ale potem jest znużony i pracuje słabiej od przezornego, nieraz zaś nabawi się i choroby.

Kto przezornie postępuje, temu nie zaszkodzi upał słoneczny, ten nie potrzebuje obawiać się udaru!



Zawsze łatwiej jest zapobiegać chorobom, niż je leczyć.

Dla Was, rodzice i opiekuni, prawda ta ma wielkie znaczenie. Starajcie się o to, aby dziatki wasze miały podostatek owoców i nie potrzebowały sięgać za pokarmem, który z ich przyrodą się nie zgadza. Pod żadnym warunkiem nie zmuszajcie ich nigdy do spożywania mięsa.

Dzeci — karmione przez matki, które nigdy mięsa nie jadały (lub tylko bardzo rzadko) — okazywały wielką skłonność do owoców.

Znane nam są osoby, które w swej młodości do 14-go względnie 18-go roku życia, odżywiały się przeważnie tylko owocami, chorób zaś wcale nie znały.

Dawajcie zatem dziatkom owoc, dawajcie im jarzyny, dawajcie dobry chleb razowy i gęstą kaszę owsianą, a będziecie mieli zdrowe dzieci z dobrymi zębami i prostemi nogami. Nie dawajcie im żadnego mięsa (ani rosołu), żadnej kawy, żadnego piwa, wina lub podobnego alkoholicznego napoju.

Rozumie się, iż najlepszy i najpożywniejszy jest owoc surowy. Jednakowoż dopóki większa część ludzi nie będzie silniejszą a przedewszystkiem dopóki nie zachowa sobie lepszych zębów, potrzeba będzie także owoc przyrządzać przez warzenie lub gotowanie.



Roboty na sierpień.

Do połowy sierpnia żniwa się odbywają w najlepsze, często termin sprzątania i do końca miesiąca się przedłuży. Cała uwaga rolnika skupia się około sprzętu, lecz nie należy zaniedbywać mimo tego uprawy pod oziminy.

Ścierniska powinny być jak najwcześniej zorane (spłużkować kilkoskibowcami). Wielkie są korzyści, jakie się osięga przez wczesne spłużkowanie.

Na roli lżejszej, a czystej I-ma orka pod zasiew jesienny wystarczy — rola np. pod żyto koniecznie się dobrze musi odleżeć.

Zwracamy tutaj uwagę na uprawę „międzypłodów", która szczególnie w latach braku paszy tak bardzo się zaleca. Jak najwcześniej po sprzęcie zboża sieje się jaką mieszankę (wykę z grochem i nieco owsa). Na jesień sprząta się ją na paszę. Oprócz tego rośliny motylkowe (o długim korzeniu) zbawiennie działają na rolę, przysposabiają ją pod następne, które po przedpłodzie o „długim korzeniu" o wiele większe wydają plony, niż bez takiego. Kto zamierza nabyć świeże ziarno do siewu, czas pomyśleć o zakupnie.

W sadzie i ogrodzie. Zbiór owocu rozpocząć. Zawczasu wybrać odpowiednie przechowalnie do owocu. W drugiej połowie miesiąca zakłada się zagony pod truskawki. Owoc truskawkowy jest smaczny, nadzwyczaj zdrowy i bazdzo pokupny. Hodowla truskawek zasługuje zatem bardzo na uwagę właścicieli ogrodów.

Od ognia należy wszystko zabezpieczyć, także stogi i t. d. Przejrzeć papiery, czy dosyć wysoko jest zabezpieczone. O wielkie straty może rolnika przyprawić niedbałość w tym względzie.

D r ó b. Stare kury, które przestają się nosić, usunąć ze stada, podtuczyć i wziąć pod nóż lub sprzedać. Zresztą pielęgnować drób starannie. Wiadomo, iż jaja z sierpnia najlepsze do przechowania na zimę.



Roboty na wrzesień.

Wkrótce po sprzęcie zboża następuje sprzęt potrawu, z rozpoczęciem tegoż nie trzeba się ociągać. Czem prędzej tem lepiej. Dni coraz krótsze, rosy opadają, a zatem kto późno się do sprzętu zabierze, z trudem tylko zdoła się z takowym załatwić. Orka pod zimę powinna być mniej więcej ukończona. Pamiętać należy, iż orka pod żyto dobrze odleżeć się musi. Również pod pszenicę mierzwa wcześnie musi być przyoraną.

Pszenicę należy „beicować“ przeciw murzonce, i to najlepiej sposobem podanym przez prof. Kühna. Sposób podajemy poniżej:

Ziarno przeznaczone do siewu moczy się na 12 lub 16 godzin w rozczynie modrego kamienia (kupfervitriol, w drogueryi można nabyć) i to tak, aby płyn stał na kilka cali ponad ziarnkami (na 100 litrów wody bierze się 1 funt witryolu-miedzi. Uważać należy aby się kto nie napił tego rozczynu, bo to trucizna, tak dla ludzi jako też dla zwierząt). Po spuszczeniu płynu nalewa się ziarno mlekiem wapiennem (na 100 kilogr. ziarna 100 litrów wody i kilogram gaszonego wapna). Mleko wapienne ma stać tylko 5 minut, w którym czasie ziarna trzeba pilnie mięszać. Potem rozłożyć je do ususzenia.

W drugiej połowie września odbywa się już sprzęt kartofli. Zaznaczamy, iż przy wybieraniu także chore, obolałe kartofle należy pozbierać z pola, nie zostawiać na polu, ponieważ takie pozostałości zawierają w sobie grzybki zaraźliwe a mogą być przyczyną zarazy następnego płodu. Przechowywać kartofle najlepiej w kopcach, założonych na równej ziemi, które się odpowiednio przykrywa. Na pierwszy czas nie daje się grubej warstwy (słoma i ziemia), wentylacyi jak „grzbietów i kominów“ kopce nie potrzebują.

W sadzie odbywa się w najlepsze sprzęt owocu. Komu chodzi, by przechowany owoc długo się trzymał, niech nie strząsa, tylko niech go z drzewa obrywa, aby nic się nie pokaleczyło. Czas kopać doły pod drzewa, które się chce sadzić przed zimą. Jesienne sadzenie jest pewniejsze, niż wiosenne.

Pszczoły. Już w pierwszej połowie września należy dokładnie zbadać stan pasieki, czy ule są w porządku i t. p. Od odpowiedniego stanu pasieki, zależnem jest dobre przezimowanie pszczół.



Gospodarstwo nabiałowe.

C o s i ę o p ł a c i l e p i e j, c z y s p r z e d a w a ć m l e k o ś w i e ż e, c z y t e ż ś m i e t a n ę i m l e k o z b i e r a n e?

Tak w gospodarstwach dworskich jak i włościańskich zdarza się od dawien dawna, że sprzedajemy najczęściej mleko świeże, nie zastanawiając się nad tem, czy też nie byłoby lepiej, zbierać mleko, sprzedawać osobno śmietanę jako słodką lub kwaśną, a osobno mleko zbierane czyli chude, lub to mleko zbierane w gospodarstwie domowem spożytkować.

Jest to sprawa ważna i warto się nad nią dobrze zastanowić, bo tak gospodarz jak i gospodyni muszą dobrze obliczyć, by wyjść w tych ciężkich czasach na swoje, a przynajmniej nie tracić na tem, co ich gospodarstwo z wielkim nakładem pracy i trudu już dało.

Żeby się przekonać o tem, co lepiej nam się opłaci, dobrze zrobimy, jeżeli sobie obliczymy tak mleko świeże niezbierane, jak i zebraną zeń śmietanę i pozostałe mleko zbierane czyli chude po cenach targowych, t. z. po cenach, jakie nam za jedno i drugie płacą.

Dla łatwiejszego zrozumienia rzeczy, weźmy sobie przykład:

Pewna gospodyni ma od swoich krówek 16 litrów mleka dziennie. Dotychczas nosiła to mleko do sąsiedniego miasta lub miasteczka i sprzedawała je jako mleko niezbierane czyli świeże po 12 groszy za litr, przynosiła więc do domu za 16 litrów sprzedanego mleka 1 kor. 92 groszy.

Teraz próbujmy w inny sposób z tem mlekiem. Tasama gospodyni zostawia 16 litrów mleka w czystem naczyniu w chłodnej piwnicy do podsiadania i zbiera z nich 2 litry dosko-

nałej śmietany. Ma więc 2 litry śmietany i 14 litrów mleka chudego czyli zbieranego.

W mieście płacą za 1 litr dobrej słodkiej lub kwaśnej śmietany najmniej 80 groszy, a za 1 litr mleka chudego czyli zbieranego 6 groszy. W tym więc razie przyniesie gospodyni do domu za 2 litry śmietany 1 kor. 60 gr. i za 14 litrów mleka chudego 84 groszy, czyli razem **2 kor. 44 gr.**, podczas gdy za mleko świeże tylko **1 kor. 92 gr.** miała. Zarobiłaby więc w ten sposób **52 gr.** i to w jednym dniu, co w całym roku wcale pokaźny grosz uczynić może.

Z tego przykładu i z tego rachunku widzimy, że musimy koniecznie zawsze rachować, bo bez poprzedniego rachunku możemy ponieść wielkie straty.

Jeżeliby była trudność w sprzedaniu mleka chudego, to i tak na tem nie stracimy, bo ono przyda się w gospodarstwie domowem w kuchni, lub na wyrób sera, a w każdym razie na sprzedaży śmietany stracić nie możemy. Mogłoby to chyba wtedy nastąpić, jeżeliby ceny mleka były bardzo znaczne. *L. K.*



Hodowla kur.

(Dokończenie.)

Pożywienie kurcząt.

Przez 8 do 4 dni najwyżej należy dawać im jajo ugotowane siekane; po 4 dniach dawać im kaszę tatarczaną, tak zwaną paloną, łupaną; kaszy jaglanej nie dawać zupełnie, bo ta jest szkodliwa i to bardzo szkodliwa, jedynie gotowana na mleku i to bardzo świeża jest dobra, a ponieważ taka jest za droga i szybko się zakwasza, więc najlepiej zupełnie jej nie używać.

Niech gosposie nie śmieją się, ale niech zechcą uwierzyć. Jaj nie dawać dlatego długo, bo kurczęta dostają zatwardzenia i giną; kasza jaglana surowa pęcznieje w ich gardziołkach i nie jest strawna, a gotowana na wodzie kiśnie szybko i szkodzi. Kasza tatarczana pomaga do wzrostu i kurczątka przepadają za nią.

Gdy kurczątka podrosną, drobno usiekana, młoda koniczyna, obsypana otrębami jest smaczną potrawą tak dla kurcząt, jak i dla starych kur. Nadto gotowany ryż (siekany, bardzo tani) na sypko jest wielce dobrem pożywieniem dla kurcząt.

Ważnem jest bardzo, aby kurczęta miały pożywienie nie twarde, bo dostają pypciów, to jest rogowatej błonki pod językiem. Pypcie należy się zdejmować, ale dopiero wtedy, gdy są już cokolwiek twardsze, bo się łatwiej od języka odłuszczą. Pypeć zerwany zawczasu zabiera z sobą cząstki języka, z tego powodu język choruje, kurczę jeść nie może i ginie, bo mu się robi na końcu języka pogrubienie, to obiera i boli i sprawia zwierzęciu dotkliwe cierpienie. Zaniedbanie zdjęcia pypcia także sprowadza śmierć, nietylko u małych, ale i u starych kur.

Zdejmowanie pypcia.

Chcąc zdjąć pypeć, trzeba mieć w pogotowiu czystą szmateczkę lnianą, i czy to kurczę, czy starą kurę bierze się tak, aby ją lewą ręką do siebie przycisnąć, następnie ująć główkę w palce lewej ręki tak, aby palec średni przypadł pod gardło i dziób — prawą ręką dziób otworzyć, palcem podłożonym pod dziób nacisnąć, a język się wysunie — wtedy go ująć w palce ręki prawej odwrócić i na szmatce, w którą palce ręki lewej, tj. pierwszy czyli wskazujący i duży są owinięte, położyć, tymi dwoma owiniętymi palcami przytrzymać język odwrócony, a paznogciem czystym wielkiego palca ręki prawej zachaczyć za koniec pypcia, gdy się odszczepi od języka, uchwycić oboma palcami i pomału ściągnąć, przytrzymując owiniętymi palcami język, aby go na końcu nie oderwać wraz z pypciem — nigdy się to nie stanie, jeżeli pypeć nie jest za młody. Po zdjęciu pypcia włożyć pod język niesłonego masła i kurę lub kurczę puścić, a zaraz się orzeźwi i jeść będzie i nabierać ciała na siebie.

Kobiety wiejskie są w zdejmowaniu pypcia nadzwyczajnie zręczne, ale że nie przestrzegają, aby miały paznogcie czyste — kury chorują. Kurczęta, mające pypcie, są smutne, w postaci zgarbionej, szyję i łebek chowają między ramiona, a skrzydła rozszerzają i opuszczają, jak płaszczyk. Wogóle powiada się: kurczęta są chore, bo się ubrały w płaszcze.

Aby uniknąć chorób u kur, potrzeba na to pilnie baczyć, żeby miały zawsze wody pod dostatkiem w jakiem płytkiem naczyniu, aby się kurczęta nie topiły.

Przy sadzeniu kur uważać na to, aby je nie sadzić w miesiącu czerwcu, bo kury wylęgłe lub nasadzane w czerwcu są najsłabsze, piszczą bez-

ustannie i zdychają. Ale nie uważać na dni kalendarzowe czerwca, tylko na światło księżycowe, nawet w maju trzeba uważać na księżyc, aby nie był w zmianie na czerwiec. Kurczęta nasadzone w marcu są najsilniejsze, również bardzo dobre są te, które się sadzi z końcem lipca, tak zwane podkopki.

Ogólne uwagi.

Dobra gospodyni każdego tygodnia bada wszystkie kury, czy która nie ma pypcia. W dużam gospodarstwie dobrze jest mieć każdą rasę osobno. W małych włościańskich gospodarstwach wystarcza jeden kogut na 20 kur. Jeżeli jest kilka kogutów, jaja nie są zdatne do wylęgu, a koguty staczają walki i zabijają się.

Jeżeli moje uwagi przydadzą się na co, to w późniejszym czasie napiszę o hodowli panterek, gęsi i indyków.

Kurczętom, które dostały wszy, smaruje się główki dobrą oliwą dosyć często.

Zośka z Wojnarowy.



Pielęgnujmy nasze drzewa owocowe.

Życie starych drzew można przedłużyć. Wiadomo, że wzrost drzewa zależy od siły twórczej jego korzeni. Gdy siła ta, a więc i tworzenie się korzeni nowych ustaje, wówczas drzewo obumiera i ginie. Dzieje się to ze staremi drzewami owocowemi wtedy, gdy się odżywiać nie mogą wskutek braku, jeżeli nie pokarmów, to przystępu powietrza, które można powiedzieć, jest czynnikiem twórczym najpotężniejszym. Dosyć jest jednak w jakikolwiek sposób wywołać powstawanie korzeni świeżych, a wzrost drzewa i owocowanie nastąpi niebawem. Najskuteczniejszym do tego środkiem jest; zbliżyć korzenie ku powierzchni ziemi (ułatwić korzystanie z powietrza) i dostarczyć im pokarmu. A zrobić to można w sposób prosty i znany. Należy tylko pod zakończeniem korony naokoło drzew starych wyczerpanych owocowaniem, wykopać rowki około 80 cm. szerokie i około 1 m. głębokie, korzenie, jakie się tu napotka obciąć i rany wygładzić nożem ostrym a następnie zasypać rów ziemią doskonale doprawioną i wreszcie podlać. Do zapełnienia rowu posłużyć może nawet sama dobra żyzna ziemia ogrodowa, następnie kompost mieszany z ziemią, nawóz przetrawiony, szlam, przegniłe skrobanki uliczne, odchody ludzkie na torfie, torf z wapnem i popiołem. Zamiast nawozu powyższych z dobrym skutkiem użyć można nawozów handlowych. Dajemy n. p. w jesieni na jedno drzewo 2 kg. tomasówki, tyleż lub 2·5 kg. kainitu (na ziemie piaszczyste) lub 1 kg. siarczanu lub chlorku potasu (na ziemie inne), a na wiosnę 2 kg. siarczanu amoniaku; kainit zastąpić można popiołem drzewnym niewyługowanym. Jako nawozy ciekłe polecić można gnojówkę z popiołem napół z wodą lub odchody ludzkie z wodą w $^3/_4$ częściach. Zasilanie nawozami handlowemi i płynnemi powtarzać należy corocznie. Przy takiem staraniu drzewa stare można zmusić do wzrostu i owocowania przez czas stosunkowo długi, zabiegi sowicie się opłacą.

Polewanie nawozem płynnym, dostarcza drzewu także wilgoci, której w razie długotrwałej suszy i drzewom owocowym trzeba dostarczyć. W ostatnim razie wypadnie nawet podlewać oprócz tego choć samą wodą, a na dowód, jak takie podlewanie podwyższyć może wydajność drzewa, podajemy opowiadanie pewnego wybitniejszego ogrodnika: Jesień zeszłoroczna — mówi ów ogrodnik była bardzo suchą, ale dlatego od początku września do końca października kazałem wszystkie moje drzewa obciążone owocem podlewać raz tygodniowo. Stosownie do ich wielkości lano pod nie po 10—15 konew wody, a tę wlewano w dołki porobione na okół, ale nieco dalej od pnia. Owoc na tych drzewach nabrał niesłychanej wielkości, a drzewa zachowały świeże liście dość długo, co pozwolało im ciągnąć soki żywotne z przyrody. Zawiązki pączków na rok przyszły też były obfitsze, niż z drzew niepodlewanych.

Opadanie owocu przed dojrzeniem powodują robaki. W początku czerwca motyle tych owadów składają jajka na owoc niedojrzały. Wylęgające się z jaj robaki wżerają się w owoc, a potem zanim owoc spadnie, gąsienice spuszczają się po nitkach ze siebie samych snutych na ziemię, wchodzą na

drzewa i pod zagłębieniami kory zamieniają się na poczwarki. Już w końcu lipca wytwarza się z tychże poczwarek nowe pokolenie motyli, które znów składają jajka w pozostały owoc wiszący na drzewie. Chcąc ustrzedz się przed znaczną szkodą w owocu, należy drzewa troskliwie oglądać i niszczyć zarodki szkodników we wszystkich zagłębieniach kory. Należy zaopatrywać drzewa także w opaski czyli pierścienie, które się nakłada na pień. Opaski smaruje się masą kleistą, którą raz po raz wypadnie odnowić. Prof. Frank zaleca użycie kleju brumaty (Brumataleim). Uskutecznia się to zwykle na jesień, oczyściwszy przedtem drzewo z mchu, porostu, luźnej kory, oraz różnych nieczystości. Baczyć, aby pod opaską kora była wyrównaną, bo inaczej przedostać się mogą owady pod opaską do gałęzi drzewa. Nadzwyczaj jest ważnem, aby wszelki owoc opadły wcześnie został z pod drzewa pozbierany. Zdrowy można zużyć, napsuty w każdym razie zniszczyć, to jest spalić, nie wrzucać czasem na gnojownię lub kompost. W ostatnim przypadku możnaby zakazić mierzwę. Tak postępując stale, ograniczymy szkody wyrządzane przez różne szkodniki, które w niektórych latach mogą się stać „plagą“ właściciela sadu, jeżeli tenże nie pomyśli o tępieniu pasożytów w zarodku.



Wzdęcie u bydła i jego leczenie.

Wzdęcie u bydła jest skutkiem łapczywego przeładowania żołądka koniczyną, lucerną, esparcetą, grochem lub wyką, a także żytem i pszenicą zżynaną na wiosnę. Szczególnie gdy te pasze są młode, świeże, nieprzewiędnięte, zwilgocone od rosy, deszczu lub szronu. Wtedy oddech bywa szybszy, a przytem utrudniony. Z pyska wycieka spieniona ślina. W końcu daje się zauważyć drżenie na całem ciele, upadek, konwulsyjne wyrzucanie odnóżami, a wreszcie śmierć.

Leczenie: Wlewać do żołądka co ćwierć godziny $^1/_8$ litra amoniaku rozpuszczonego pół litrem wody lub rumianku, albo dawać co ćwierć godziny po pół litra mleka wapiennego t. j. wapna gaszonego rozmieszanego z wodą. W braku tamtych środków można stosować mięszaninę z sporej garści popiołu drzewnego w pół litrze wody. Często dobry skutek osiąga się olejkiem terpentynowym lub naftą, z których 3 lub 4 łyżki stołowe trzeba rozmieszać w kwaterce słabej wódki i wlać bydlęciu do pyska.

Zadawanie tych wszystkich środków trzeba powtarzać co $^1/_4$ godziny, aż do opadnięcia skóry na słabiznach.

By odbijanie, t. j. wypychanie gazów przez przełyk ułatwić, trzeba bydlę okiełzać grubym powrósłem, które dobrze będzie posmarować dziegciem, jeżeli się go ma pod ręką. Zlewanie zimną wodą działa bardzo skutecznie. Dobrze będzie przeto wprowadzić do stawu albo okryć workami i zlewać wodą studzienną. Nie zapominać o podtrzymaniu ruchu żołądka przez przepędzanie bydlęcia słabym truchtem.

W wypadkach groźnych przebić „torbę“ (żwacz) trokarem lub nożem. Także użyć można rury przełykowej, jeśli ją kto posiada.

Po ustaniu wzdęcia trzymać bydlę przez kilka dni na dyecie i podawać pokarmy posilne ale łatwo strawne, a mianowicie nieco siana, otrąb pszennych z burakami lub marchwią. Zadawać przez 3 dni odwar z garści piołunu w 2 litrach wody, w którym to odwarze rozpuścić szklankę soli glauberskiej.

Przebieg choroby: Gdy wskazane środki zastosuje się wczas, skutek będzie dobry. Gdy bydlę doszło do tego, że dla braku tchu trzyma pysk otwarty z wywieszonym językiem, przepowiednia niewątpliwa. Śmierć następuje w pierwszej lub drugiej godzinie po ukazaniu się pierwszych objawów chorobowych, a końcową przyczyną bywa pęknięcie błony żołądkowej lub uduszenie.



Z chowu świń.

Jak długo utrzymywać maciory? Zależy to od rasy. Rasa polska krajowa, na wysokich nogach, a długim ryju i kabłąkowatym grzbiecie, rozwija się zwolna, a osiąga wzrost zupełny dopiero w 3 lub w 4-tym roku życia, podczas gdy świnie angielskie o ryju i nogach krótkich, już w dwóch latach wyrastają zupełnie. Gdy wzrost maciory ustaje, wtedy ona rozpoczyna tyć, t. j. osadzać tłuszcz pod skórą i na wnętrznościach, a dzieje się to

nawet przy skromnem odżywianiu, jeśli maciora prosiąt nie karmi. Gromadzenie się tłuszczu w organizmie maciory wpływa ujemnie na wydzielanie mleka, skutkiem czego maciora nie jest w stanie dobrze prosiąt wykarmić. To też wskazanem będzie maciory rasy krajowej wybrakować już po 8 lub 9 rzucie. Wcześniej nie, boby to było ze stratą dla hodowcy. Przy pierwszych bowiem dwóch lub trzech rzutach daje maciora mało prosiąt.

Maciory ras angielskich trzeba wybrakować już po 4-tym lub 5-tym rzucie. Dobra maciora rzuca w przeciągu dwóch lat 3 razy i to w pierwszym rzuca 3—4 prosiąt, w drugim 4—6, w trzecim 6—8, w czwartym 8—10, w piątym 10—12, poczem jej wydajność słabnie.

A ponieważ maciora staje się zdolną do rozpłodu już po skończonym pierwszym roku, więc maciora swojska po 9-tym rzucie tj. w 8-mym roku, a angielska po 5-tym rzucie tj. w 5-tym roku życia będzie do korzystnego rozpłodu nieodpowiednią.

W porze obecnej, to jest wśród lata, pamiętać należy o codziennem dostarczaniu trzodzie świeżej, czystej wody. Wskutek gorączki cierpią świnie i tak dosyć, ponieważ sadło je pali. Nie przysparzajmy przeto im cierpień. Zresztą świnie, które nie mogą dostatecznie zaspokoić pragnienia, które zatem nie mogą się także ochłodzić, łatwiej zapadają na choroby, nieraz bardzo niebezpieczne, uporczywe. Wypuszczone zaś na dwór, dążą do kałuż lub rowów, a nawet do dołów z gnojówką, gdzie pyszcząc, połykają nieczystości i różne robactwo. Jeżeli zaś mimo dostarczenia wody w dostatecznej ilości, świnie piją gnojówkę, natenczas braknie im soli w pokarmie, a która także zwierzętom w pewnej ilości jest koniecznie do zdrowia potrzebną. W gnojówce mieszczą się jak wiadomo sole amoniakalne. A zatem pamiętać także o posypywaniu (lub najlepiej zmieszaniu) karmy z solą, dając na dzień z 5—8 gramów na sztukę, nie więcej, bo „co za wiele to nie zdrowo“.

Chlew gorący nie służy świniom. Okna pozasłaniać należy od słońca, na noc zaś poroztwierać okna szeroko w celu wychłodzenia oraz przewietrzenia chlewa. Obórki przy chlewie powinny być cokolwiek ocienione drzewami. Podczas dni skwarnych lepiej w chlewie utrzymywanym o ile możności chłodno.

Tak zresztą jest i świniom — oprócz tuczników — ruch na świeżem powietrzu bardzo potrzebny. To też kto posiada odpowiednie pastwisko (na łąki puszczać nie można, ani na koniczyny, ponieważ ryjąc psują powierzchnię), niech wypędza świnie na takowe, choćby na krótszy czas. Lecz koniecznem jest dozorować trzodę, aby nie szła w szkodę, lub nie dążyła do miejsc nieczystych. Jeżeli się świnie trzyma więcej w chlewie trzeba zadawać zieleniny porzniętej na sieczkę. Jest to bardzo stosowna pasza i zdrowa, działa nieco przeczyszczająco, czem zapobiega chorobom. W zimie natomiast daje się w to miejsce porzniętych buraków itp. Że czystość bezwzględną tak w chlewie jak na podwórku stale trzeba zachowywać, samo się przez się rozumieć powinno. Z koryt pozostałą karmę usunąć, a koryto wytrzeć na czysto. Zawsze lepiej mniej na raz zadawać niż za wiele, gdyż w pierwszym razie nic albo mało pozostanie do usuwania. Owo przysłowie „wdziej na świnię złoty łańcuch, a ona jednak w błocie tarzać się będzie“, stosować chyba można do świń źle utrzymywanych.



Jak postępować w zimie z gęśmi?

Wśród najcięższych mrozów w klimacie naszym, gęś nie potrzebuje zamknięcia. Codzień rano, skoro się tylko rozwidni, należy kurnik otworzyć, wysuszyć dobrze, wypełnić świeżą słomą i zostawić gęsiom zupełną swobodę. Przekładają bowiem one zawsze wolność nad wszelkie domowe rozkosze.

Jeść trzeba im dawać jak najczęściej, ale w niewielkiej ilości. Jak tylko okazują niepokój, kręcą się koło swego korytka, bezzwłoki należy im wynieść trochę zwykłego pokarmu, choćby ośm, lub dziesięć razy przez dzień.

Przy takiem postępowaniu można się obyć bez owsa, nawet i w czasie niesienia nie jest on dla gęsi konieczny, jedynie jest niezbędnie potrzebny dla gęsi nasiadek.

Pokarm najtańszy i dostatecznie żywiący gęsi, może stanowić mieszanina, którą się przyrządza z ziemniaków gotowanych, surowej, siekanej marchwi i nasion traw, które odpadają przy czyszczeniu zboża. Mieszaninę taką zaparza się ukropem i potrochu, ale często podaje gęsiom. — Przytem zwracamy uwagę, żeby nigdy nie zaparzać pokarmu dla ptactwa domowego wodą odcedzoną od ziemniaków, — co bardzo się często zdarza — bo odwar ten szkodzi gadzinie bardzo.

Podczas silnych mrozów baczyć trzeba, aby stale była pod ręką gorąca woda i tą odmrażać (rozgrzewać) naczynia z jedzeniem na dworze, a woda do picia, żeby była letnia a nie zimna.

Czynność tę powtarzać się powinno jak najczęściej, a zwłaszcza przy każdem zadawaniu pokarmu. — Drugą ważną czynnością, na którą baczyć należy, to żeby pragnienie nigdy gęsiom nie dokuczało. Ze względu na przyszłe niesienie jaj, to pamięć, aby gęsi nigdy nie brakło wody do picia jest ważniejsza, niż dawanie owsa. — Gęsi rasowe, tak zwane: Emdeńskie i Tulońskie przy takim postępowaniu, począwszy od lutego znoszą jaj 40 przecięciowo.

Gęsiom nie daje się więcej jaj do wysiedzenia, jak 10 do 12 — pozostałą resztę, podkłada się pod kury dużego gatunku, przeznaczając pod jedną kurę jaj 5 do 6.

Nasiadki powinny być raz na dzień z gniazd zsadzane, o jednej i tej samej porze dnia, wtedy dopiero konieczny owies w korytku, a w cebrzyczku woda, a najlepiej rano. Ktoś powinien przy tem rannem żywieniu nasiadek być obecnym, bo gdy takowe skończone, każdą gęś trzeba doprowadzić do swego gniazda.

Podczas siedzenia nie wypuszczać gęsi na podwórze, jak to niektórzy czynią, bo tego rodzaju spacery bywają czasem niebezpieczne dla gniazda. Świat Boży i dla gęsi ma za wiele pokus, które gąski odciągają od ich obowiązków.

Gęś, jeżeli ma być rzeczywiście dobrą gęsią, trzeba ją trochę ogłupić, to znaczy wyperswadować jej przyrodzone prawa.

Każda zatem gęś powinna podczas siedzenia okrytą być wielką opałką, aby jak najmniej miała pokus do opuszczania gniazda — żeby go nie ostudzała.

Jajkom nie dozwolić się starzeć. Nie czekać zebrania się ich znaczniejszej liczby. Podkładać nie starsze, jak mające 10 dni. Im świeższe bowiem jaje, tym cały proces lęgu lepszy, a nawet i wychów.

Po 12 dniach grzania, należy przejrzeć jaja pod światło, zapłodnione połączywszy z niezalężonymi, podłożyć pod gęsi, lecz już nie tyle sztuk, co poprzednio, ale tylko od 8 do 10 jaj. Bo jeżeli mniejsza jest liczba jaj już zalężonych, to lepszy i szybszy wylęg bywa.

Gęś zwykle mięsza jaja i wysuwa na brzeg gniazda jaja niezalężone. A jaj zaś o wiele chłodniejszych zupełnie nie porusza i do środka gniazda między dobre jaja nie wprowadza. — Jeżeli więc danem jej będzie 12 lub 14 jaj, jak to zwykle czynią gosposie, wtedy — przez to jaja mięsza, a więc ciągle się porusza, jaja oziębia, a przytem nie mogąc ich należycie nakryć, przez to ostudza, i przez to następuje słaby lęg i ubytek nowo wykłutych piskląt.

A więc z tego wynika, że ze względu na korzyści, nie należy dużo jaj gęsiom podkładać, ale zwiększać liczbę gęsich nasiadek.



ROZMAITOŚCI.

Zmarli. Aureli Urbański, poeta, autor „Miatieża", „Na poddaszu" (krótkie obrazy patryotyczne z powstania 1863 r.) i wielu innych utworów, zmarł we Lwowie.

Ksiądz Tadeusz Chromecki, rektor księży Pijarów w Krakowie, znakomity kaznodzieja i gorący patryota, uczestnik powstania 1863 r., należał do założycieli Tow. „Szkoły ludowej" i był przewodniczącym Koła krakowskiego. Podczas uroczystości otwarcia Domu Polskiego w Morawskiej Ostrawie wygłosił mowę ognistą, która podobała się nawet Czechom, bardzo wymagającym w tym względzie.

Łucyan Tatomir, dyrektor seminaryum nauczycielskiego we Lwowie, znany krajoznawca i autor wielu doskonałych dzieł z zakresu geografii i historyi.

Niemcy, a zwłaszcza Prusacy dzisiaj jakby nie uznając ludzi innych, dopuszczają się wobec Polaków bezprawi, jakich dopuszczali się niegdyś Rzymianie wobec „barbarzyńców" lub „niewolników". Wydzierają oni Polakom wszystko, co jest tylko podstawą życia narodu i w dzikim szale germanizacyi, depcą prawa boskie i ludzkie, depcą prawa międzynarodowe, lekceważą przyrzeczenia i przysięgi swoich władców poprzednich. Wdzierają się nawet w tak delikatne uczucia, jakiemi są uczucia religijne i każą dzieciom polskim uczyć się religii w języku niemieckim. Dzieci polskie same sprzeciwiają się temu bez najmniejszej nawet

namowy ze strony rodziców i to właśnie rozwściekla jeszcze więcej prusackich siepaczy.

Niedawno we Wrześni (w W. Ks. Poznańskiem) zaszły wypadki, które wołają o pomstę do nieba.

Oto tamtejsze władze szkolne nie mogąc zmusić dzieci polskich do uczenia się religii w języku niemieckim, poczęły im wymierzać tak ciężkie chłosty, że jednego dnia dzieci biedne powracały do domów zanosząc się od płaczu z opuszczonemi w dół rękami obolałemi.

I kiedyż skończą się te bezkarne dzisiaj zbrodnie, spełniane na niewinnym narodzie? Ale niechaj wróg zadrży przed skutkami swych czynów, które strasznie pomszczą się na nim samym. Nadejdzie chwila pomsty za krzywdy wszystkie i wtedy dopiero pozna wróg, że istnieje sprawiedliwość, że istnieje — Bóg w niebie. Ta chwila będzie końcem panowania potęgi materyalnej, a początkiem panowania potęgi ducha.

„Półpaski“. Zarząd policyi w Mysłowicach ogłasza, że między rządem niemieckim a rosyjskim przyszło do obopólnej umowy co do określenia warunków t. zw. półpasków. Ważne one będą przez 28 dni od dnia przejścia przez granicę, jeżeli to przejście nastąpi przed upływem 14 dni od wydania półpaska. Przez 14 dni nieużyte półpaski tracą ważność i nie uprawniają do przejścia granicy.

Bardzo ciężkim będzie rok bieżący dla rolników. Jak dotąd, deszcze, burze i powodzie nawiedzają kraj nasz w sposób niesłychanie dotkliwy. Nie ma dnia, aby od paru już tygodni nie dochodziły wieści smutne o szkodach, temi klęskami spowodowanych. Wszystkie niemal rzeki górskie powystępowały z brzegów i niżej położone grunta pozalewały. Tę straszną niedolę znosić musi przeważnie biedny lud, gdyż jego to pola po większej części nad wodami leżą. Żeby to chociać posłowie nasi (włościańscy) zdołali u rządu opuszczenie lub zmniejszenie podatków dla powodzian wyprosić — i żeby to przyspieszono pracę nad regulowaniem rzek, a budowaniem kanałów — toby przynajmniej pocieszać się można było nadzieją, iż to zło, dotąd ciągle powtarzające się, może przecież kiedyś się skończy.

Dnia 15 czerwca wyszedł w Tarnobrzegu numer 2 *Głosu Ziemi sandomierskiej*, dwutygodnika poświęconego sprawom włościańskim. Gazeta ta, bardzo dobrze redagowana, podaje wiele pożytecznych i pouczających wiadomości, oraz gorąco zajmuje się losem braci, na obczyźnie przebywających.

Powiat bialski pod względem narodowym — upada coraz więcej. Polacy na każdym kroku dają się Niemcom wypierać i jeżeli tak dalej pójdzie, grozi nam tu zniemczenie. Wszystkie warstwy społeczne nie są tu bez winy, wszystkie też wspólnie do poprawy stosunków wziąć się powinny.

Stan włościański również pod względem narodowym wiele na odporności utracił. Bardzo wielu wychodzi za zarobkiem do Prus i do Białej i tam, a zwłaszcza w Białej przesiąkają duchem niemieckim, każą sobie język ojczysty i uważają sobie za zaszczyt popisywanie się niemieckiemi wyrażeniami. Wracając na wieś, wnoszą tu wraz z ubiorem obyczaj niemiecki. Miłość do zagona ojczystego silnie w naszym włościaninie osłabła, często wyzbywa się ziemi bez powodu, by gdzieś za granicami kraju lepszego szukać zarobku.

Męki polskich księży. Bardzo ważny proces toczył się w pierwszych dniach czerwca przed izbą karną w Gdańsku (Ks. Poznańskie). Na ławie oskarżonych zasiadł ksiądz katolicki, i to ukochany przez szczerze katolicką część swych parafian, czcigodny ks. proboszcz Tyczyński, który już od roku 1884 zawiaduje parafią w Starzynie w powiecie puckim.

Na ławę oskarżonych dostał się ten zacny duszpasterz ot w taki sposób. W kościele starzyńskim, do którego uczęszcza 1244 Polaków, a 73 Niemców, odbywały się dla tej szczupłej garstki Niemców trzy razy w roku kazania niemieckie. Kilku parafianom Niemcom było jednak tych kazań niemieckich za mało, więc przybyli do ks. proboszcza i zażądali, żeby kazań niemieckich było więcej, bo w Starzynie niemczyzna się wzmogła. Tymczasem w parafii starzyńskiej co najwięcej 8 rodzin mówi w domu po niemiecku, a z tych może tylko 5 rodzin nie rozumie po polsku. To też ks. proboszcz do żądania pomnożenia kazań niemieckich się nie przychylił, zaznaczając równocześnie, że komu się to niepodoba, ten może się udać do Władzy Biskupiej w Pelplinie.

I stała się rzecz niezrozumiała! Oto przyszło do tego, że chociaż ks. proboszcz Tyczyński kapłańskiem swojem słowem poręczył, że w Starzynie więcej kazań niemieckich nie potrzeba i że przeciwnie nie można uszczuplać liczby kazań polskich, Władza duchowna w Peplinie rozporządziła, że odtąd w Starzynie ma być 6 kazań w roku i że w każdą niedzielę ma być Ewangielia św. czytaną po niemiecku.

Niedawno zapowiedziano w Poznaniu pierwszy „wiec obyczajowy“, na którym pod rozprawy publiczne poddaną będzie sprawa wytępienia pijaństwa i karciarstwa.

Sprawy pijaństwa i karciarstwa, mające być przedmiotem obrad pierwszego wiecu obyczajowego w Poznaniu, są nader ważne, gdyż działają bardzo szkodliwie na całe społeczeństwo; wypowiedzenie więc walki tej chorobie na pierwszym wiecu, dobrze zaleca plan działania komitetu. Dalej pójść mają: sprawa oszczędności, będąca poniekąd następstwem pokonania tamtych dwóch wad w życiu ludzkiem.

Winszujemy ziomkom naszym w dzielnicach pruskich tej działalności prawdziwie obywatelskiej i nie wątpimy, że da ona możliwie pomyślne wyniki.

W powiecie tarnobrzeskim staraniem Koła włościańskiego Towarz. „Szkoły ludowej“ z Wojciechem Wiąckiem na czele odbyła się wspaniała uroczystość

„Wianków" przy dźwiękach muzyki, śpiewach narodowych i oświetleniu bengalskimi ogniami. Tłumy ludu uczestniczyły w tymże narodowym obchodzie. Koło to włościańskie, niedawno założone, już zaznaczyło swą energiczną działalność pracą na niwie narodowej: zakładaniem czytelń ludowych, wydawaniem czasopisma i urządzaniem obchodów narodowych.

Słuszne więc należy mu się uznanie.

Przeciw cholerynie u dzieci. Dr. Monyour w Bordeaux wypróbował bardzo prosty sposób leczenia choleryny (wymioty połączone z biegunką), owej choroby strasznej pojawiającej się tak często u dzieci, zwłaszcza w miesiącach gorących. Dr. M. jest zdania, że w kiszkach znajdują się bakterye powodujące tamże nieprawidłowe rojenie czyli kiszenie (fermentowanie). Nic on zatem innego choremu dziecku przez kilka dni nie podaje, jak tylko dobrze odgotowaną wodę. Woda stanowi bowiem dla bakteryj najgorsze pożywienie tak, iż wnet giną; dziecku zaś woda taka gasi najlepiej pragnienie i jest zupełnie wystarczającą, gdyż podczas tej choroby nie łaknie. Można dawać dziecku dziennie 300 do 400 g. (blisko pół litra) wody do picia. Zwykle już po kilku dniach dziecko nie ma ani wymiotów, ani biegunki, i można je zwolna znowu przyzwyczajać do należytego pokarmu.

Walka przeciw pijaństwu coraz skuteczniej przeprowadzoną zostaje w Szwajcaryi. W większych miastach dotąd urządzono już 455 gospód i restauracyj, w których napojów alkoholicznych wcale nie podają. Ruchome herbaciarnie i kawiarnie mają również wkrótce być zaprowadzone w większych miastach.

Szkody gradowe. W krakowskiem Towarzystwie wzaj. ubezpieczeń zgłoszono dotychczas szkody gradowe: z Galicyi w 253 wypadkach, w Bukowinie 9, na Morawii 1. Najwięcej szkód zgłoszono z powiatu Żurawno (37), oraz w powiatach Bobrka, Rohatyn i Tarnopol. Żadnej szkody nie było tylko w powiecie żydaczowskim.

Krwawnik czyli Tysiąclist i jego użycie w lecznictwie i rolnictwie.

Krwawnik znany jest również pod nazwą Złocień, Krwawnik lub Tysiąclist. Jest to ziele trwałe, posiadajace łodygę sztywną, gładką lub włoskowatą, zwykle nieco rozgałęzioną, corocznie z korzeniaka wychodzącą w wysokości od kilkunastu centymetrów aż do jednego metra.

Krwawnik jest znakomitem zielem lekarskiem lekko podniecającem. Krwawnik działa silnie na naczynia krwionośne, również na układ mięśniowy i nerwowy. Używa się tak liści jak kwiatu przy zbyt silnych krwawicach (hemoroidach), przy nadmiernej miesiączce, białych upławach, jak wogóle przy chorobliwych wydzielinach błonkowych. Młodziutkich listków używa się zwykle do t. zw. kuracyj wiosennych, zwłaszcza w cierpieniach wątroby, śledziony i żołądka. Świeżo urwane takie listki kraje lub sieka się drobno, wyciska sok i pije go bądź to z mlekiem, bądź z wodą osłodzoną miodem. Drobną taką siekankę z młodziuchnych listków posypać można na chleb z masłem i spożywać codziennie. Można też listki wygotować w wodzie i po ostudzeniu pić jako herbatę.

Świeże liście krwawnika, gniecione, używają się także jako okłady rozpędzające. Znakomici profesorowie i lekarze poważają właściwości krwawnika i zalecają swym cierpiącym w początkujących suchotach, przeciw blednicy, cierpieniom żołądka i kiszek, cierpieniom kobiecym itp.

Dobrze jest zważać przy zbieraniu ziela tego na miejsce, w którem rosło: listki i kwiaty są bowiem znacznie silniejsze i więcej aromatyczne z roślin wyrosłych na wzgórkach lub na suchych i słonecznych miejscach, aniżeli takich, które wzrastały w miejscu wilgotnem i zacienionem.

Krwawnik jest nader użyteczną rośliną także w gospodarstwie. Bydło chętnie się tą rośliną żywi, listki zaś drobno posiekane miesza się do paszy dla drobiu, zwłaszcza dla kur i indyków w celu wydalenia z nich robaków. Ze względu na składniki swe aromatyczne i gorzknikowe używany bywa krwawnik do wyrobu nalewek i likworów żołądkowych.

Zbierać trzeba krwawnik w czasie kwitnienia.



PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Szanownym Czytelniczkom i Czytelnikom *Przodownicy* przesyłamy jednocześnie połączone razem dwa numery za miesiąc lipiec i sierpień z powodu pory wakacyjnej, kiedy to i komitet redakcyjny po całorocznej pracy dla wytchnienia i kilko-tygodniowego wypoczynku rozjeżdża się na wieś. Najbliższy więc numer *Przodownicy* dostaniecie Szan. Czytelniczki w połowie września.

Szanownemu Michałowi Brońskiemu wysłała redakcya spis dziełek rozmaitych o „pszczelnictwie" do wyboru.

Szanownym Fr. Jaworskiemu, H. Radwańskiej, J. Ochodkowi, Honoracie Heil oraz tym wszystkim, którzy prosili o przesłanie *Przodownicy*, oraz reklamowali — wysłałyśmy nasze pisemko.

Szanownej Teresie Kozieł donosimy, że również z Nią uznajemy użyteczność kreta — ale, jeżeli on nie pojawia się w wielkiej bardzo liczbie na polach, ogro-

dach, łąkach itd. Przez tworzenie sobie bowiem bardzo licznych kretowisk wyniszcza plony i rujnuje pracę ludzka. Tam więc, gdzie się pojawia gromadnie, trzeba go tępić, bo innego sposobu pozbycia się go nie ma. Donosząc o tem Szanownej Pani, przesyłamy serdeczne pozdrowienie.

List Szanownego Wojciecha Nieczkuli sprawił nam niewypowiedzianą radość. Jeżeli Polacy, choć na obczyźnie, tak czują, tak kochają naszą znękaną Ojczyznę, to ona „nie zginie". Aby drogie nam Czytelniczki-Polk doznały tej samej co i my radości, dzielimy się z Wami listem, z którego jeden ustęp przytaczamy, mając to przekonanie, że p. Nieczkula nie zgniewa się na nas za to. Pisze on: „Jestem Polakiem, polskie pismo kocham i szanuję. Bodajby częściej *Przodownica* do nas przychodziła, bo człowiek na obczyźnie między cudzymi to się niem pokrzepi na duchu. Artykuliki czytamy, cześć im za to. Niech polski duch się wszędy wzmacnia — w jedności i zgodzie pracujmy, aby oświata i nauka kwitły w naszym narodzie!"

Donosimy, że p. Nieczkula mieszka w Budapeszcie a więc na Węgrzech. A wiecie, drogie Czytelniczki, że Węgrzy są również srogimi nieprzyjaciółmi naszych braci Słowaków. Że wynaradawiają ich i prześladują ich narodowość podobnie jak nas Niemcy i Moskale — to też nie wesoło być musi Polakowi, żyć wśród wrogów swoich i swych braci.

Na życzenie Szan. J. K. zamieszczamy przepis, jak wyrabiać wino z jagód i owoców.



Od Administracyi.

Donosimy Szanownym Czytelniczkom i Czytelnikom, że kto do 1 września b. r. prenumeraty za rok 1901 nie zapłaci, począwszy od numeru wrześniowego *Przodownicy* nie otrzyma, oraz nie będzie miał prawa korzystania ze zniżki na kalendarzach K. Wojnara, jaką wyjednałyśmy dla Szanownych Prenumeratorek i Prenumeratorów naszego pisemka.



lendarzowej, jaką nietylko całą Galicyę, ale i inne dzielnice Polski, tudzież Polonię w Ameryce zalewa Niemiec Steinbrener, wydający przeszło 10 gatunków polskich kalendarzy w olbrzymiej ilości.

Kalendarze te, są zazwyczaj nędzną przeróbką podobnych niemieckich wydawnictw, z temi samemi rycinami, więc np. grupa opasłych piwoszów niemieckich przedstawia górali z pod Nowego Sącza i t. p. Nie brak tam nawet pogardy dla ludów słowiańskich a niemieckość jest przedstawiona jako coś niezwykłego, na co z nabożeństwem i zazdrością należy się patrzeć. Lecz niech króciutkie wyjątki mówią same za siebie:

„Artysta nie cieszy się tak wykończonem arcydziełem, jak Rębajło napisanym po niemiecku listem do Ojca Radeckiego. **Z dumą** chodził po izbie... prostował **„strychy“**, aby wyglądały ładniej... Rębajło z wielkiem namaszczeniem wypisał zamaszysty adres z kilkoma zakrętami jak dla Ekscelencyi przystało. Mieszczanie **z nabożeństwem** przypatrywali się tej operacyi, **zazdroszcząc** drwalowi uczoności w niemieckiem pisaniu...“ („Kalendarz powieściowy“ na r. 1901, str. 35 i 36).

„Po tych słowach rzuciła się pani mężowi na szyję i z płaczem **wyszeptała**: „Zabrać ze sobą...“ (Tamże, str. 53).

„W Niemczech wielka panowała radość z powodu ogłoszenia pełnoletnim następcę (tak!) tronu, Fryderyka Wilhelma, który w maju skończył rok 18. Obecność rozmaitych posłów obcych mocarstw, przedewszystkiem cesarza Austryi Franciszka Józefa, nadała uroczystości tej blasku niezwykłego.. “ (Tamże str. 128.)

Po stracie matki opiekun takiej rady udziela sierocie Skwarkowi: „Ot wnet wezwią cię do wojska. Na co masz czekać. Zgłoś się sam do szeregów wcześniej, a będziesz miał lepsze oko. A potem. Cóż ty sam poczniesz tu na gospodarce... Lepiej puść chatę z ogrodem w dzierżawę, a sam idź do wojska“. („Kalendarz uniwersalny, cz. IV. str. 35.)

„Arpad tu pokonał ostatnich obrońców niepodległości Słowiańszczyzny **i odtąd w spokojnem posiadaniu dzierżył batog nad głupimi Słowianami...**“ (Kalendarz Uniwersalny“ str. 15).

Wiemy, jak Niemcy wrogo są usposobieni względem narodu polskiego, bo nie dość, że wspólnie z Moskalami rozdarli i zagrabili nam naszą Ojczyznę, ale jeszcze i teraz w zaborze pruskim bez miłosierdzia, w nieludzki, po prostu w barbarzyński sposób znęcają się nad naszymi rodakami, nawet religii św. nie pozwalają uczyć po polsku, a krajan naszych, chcących tam zapracować na kawałek chleba, nieraz bez najmniejszego powodu wyrzucają za granicę. Sami też potraficie ocenić, co warta taka rada, aby młody parobczak porzucał gospodarstwo a sam szedł do wojska. — Za to podnoszenie niemieckości pod niebiosa, za obelżywe i pełne pogardy wyrażanie się o Słowianach — boć przecież i my Polacy należymy do Słowian — tudzież z powodu wielu innych szkodliwych dla naszego narodu zasad, jakie się w kalendarzach Steinbrenera znajdują — powinniśmy je precz wyrzucić z naszych hat — a natomiast kupować tylko kalendarze szczerze polskie, szczerze narodowe.

W tym zaś celu tak wcześnie zawiadamiamy Was, Szanowne Czytelniczki i Czytelnicy, że wyjdą dobre i piękne kalendarze nakładem księgarni Wojnara w Krakowie, abyście zawiadomili i poradzili kierownikom „Kółek rolniczych“, właścicielom sklepów i kramarzom, sprzedającym książki i kalendarze po odpustach, aby nie sprowadzali kalendarzy od Steinbrenera, bo Wy ich kupować nie będziecie, więcby tylko mieli straty. Jeśliby kogo nie przekonało to — cośmy powyżej powiedzieli — że te kalendarze Steinbrenera prawie wszystkie są liche a niektóre nawet bardzo szkodliwe, to powinno im trafić do przekonania to, żeśmy naszych pieniędzy nie powinni posyłać do obcych krajów, bo przez to kraj nasz a więc i my wszyscy coraz bardziej ubożejemy i przychodzimy do coraz większej nędzy.

Zresztą nie namawiamy Was, abyście koniecznie kupowali tylko kalendarze Wojnara, kupujcie jakie chcecie, byle dobre i pożyteczne a drukowane w kraju, bo jeśli kupujecie od Steinbrenera, to bogacicie Niemca, ubożycie kraj, a za swoje pieniądze zamiast pożytecznych wiadomości, kupujecie sobie często truciznę, bo niejeden czytając takie naprzykład kalendarze uniwersalne, powieściowe, żołnierskie i t. p. zapomina o tem, że jest Polakiem, a zdaje mu się, że jest Austryakiem.

Na podstawie umowy z księgarnią Wojnara odbiorcy *Przodownicy* mogą dostać kalendarze: „Gospodarza“, „Polaka“, „Polski kalendarz Maryański“ i „Kalendarz powszechny“ o czwartą część taniej, **jeśli się zgłoszą przed 15 sierpnia b. r.** — Zamówienia należy wysyłać wprost pod adresem: **Księgarnia K. Wojnara w Krakowie** (ulica Szewska), powołujac się na *Przodownicę*.

	K.	h.
Antoniewicz K. ksiądz. Obrazki z życia ludu wiejskiego. Wydanie nowe. 1900	1	30
Antoszka. Jak żyją w Czechach, Zwyczaje i powiastki czeskie. Na język polski przełożone. Z mapką i 2-ma obrazkami. 1889 . . .	—	26
Dzielny żołnierz, opowiadanie historyczne z powieści H. Sienkiewicza „Pan Wołodyjowski“, przerobione przez H. Sł. 1900	—	50
Elementarz dla chłopców wiejskich. Wydanie nowe Kaszyckiego	—	16
Gondek Feliks ks. Gorzałka źródłem wszelkich zbrodni wobec Boga i ludzi. Wydanie szóste. 1896	—	60
— Wspomnienia z pielgrzymki do Ziemi świętej. Wydanie 3-cie. 1871 , ...	1	50
Góralczyk Kazim. (Wł. L. Anczyc). Dzieje Polski w dwudziestu czterech obrazkach. Wydanie nowe . . . . Karton.	1	30
Łyskowski Ignacy. Gospodarz. Wydanie nowe. 1894 . . . . Karton.	1	60
Treść: Rolnictwo. — Hodowanie i choroby koni, bydła i owiec. — Ogrodnictwo.— Pszczelnictwo. — Rozmaitości gospodarskie.		
Obrazki świętych. Zbiór 35 obrazków kolorowanych z odpowiednim tekstem. Serya 2-ga .	—	52
Obrona Częstochowy, opowiadanie z czasów wojny szwedzkiej przerobione przez S. J. z powieści p. t. „Potop“ Henryka Sienkiewicza. 1897	—	52
Święty Piotr w Rzymie, opowiadanie z czasów prześladowania chrześcijan za Nerona, przerobione z powieści H. Sienkiewicza „Quo vadis“, przez H. Sł. 1900	1	—
Wojny pierwsze krzyżowe z dodaniem krótkiej wiadomości o następnych. 1962	—	13
Będzikiewicz S. S. O naszem gospodarstwie rybnem	—	50
Jankowski. Sad i ogród owocowy	8	—
Sad przy chacie	—	50
Ogrody polne	1	—
Owoce i wytwarzanie odmian owocowych . . .	1	—
Wady naszych sadów	—	50
Karyuszko Sew. O drenowaniu roli	1	—
Kisielewski A. Przechadzki po polu i ogrodzie .	1	—
Kohn A. Przechowywanie mierzwy stajennej — metoda szwajcarska	—	60
Kokurewicz M. O uprawie chmielu	—	49
Konkolewski M. ks. Jaś Sadowski, mały założyciel sadów czyli dostateczna nauka o hodowaniu drzew owocowych dla użytku młodzieży wiejskiej	—	75
Koszutski W. Pomiary i znamiona charakterystyczne najwięcej znanych ras i odmian bydła nizinnego i górskiego	—	50
Krasicki K. Pszczelnictwo	—	25

	K.	h.
Kubicki L. J. Weterynarya popularna dla użytku gospodarzy wiejskich	—	50
Lubomęski A. Praktyczne zastosowanie teoryi żywienia inwentarza	—	60
Lewicki K. Pszczelnictwo, 4-to	—	50
Łapicki J. Pług, zasady jego budowy, jako wiadomości niezbędne dla gospodarstw wiejskich, czego od pługa wymagać należy. .	—	60
Łuniewski Tym. Doświadczenie nad uprawą ziemniaków	—	60
Chojecki Tad. O tuczeniu bydła opasowego . .	—	80
Fruwirth C. Chmiel, jego uprawa i użycie . .	2	—
Goeschke Franciszek. Ogród wiejski, popularny przewodnik przy zakładaniu i pielęgnowaniu ogrodów, oraz podręcznik do nauki ogrodnictwa	1	04
Jaroszewski Zygmunt. Gospodarstwo wzorowe. Uprawa roślin zbożowych, pastewnych, groszkowych, koniczynnych i traw	7	80
Langie K. Ogród warzywny, jego urządzenie i pielęgnowanie roślin warzywnych	2	—
Trzy nauki gospodarstwa, napisane dla włościańskich gospodarzy. O płodozmianie czyli wielopolowem gospodarstwie. O nawozach. O uprawie roli	—	40
Baldamus A. E. Dr. Hodowla drobiu. Opisanie ras ze sposobami hodowania, pielęgnowania, żywienia i użytkowania tegoż, ze szczególnem uwzględnieniem chorób drobiu i ich leczenia. Praktyczny poradnik dla gospodarzy i gospodyń, utrzymujących drób . .	2	60
Baranowski Łodzia S. O chowie trzody chlewnej	1	80
Maercker. O najwłaściwszem użyciu sztucznych nawozów	1	—
Milewski Józef Dr. O sprawie utrzymania ziemi w naszem ręku	1	20
Modzelewski Jan. Gdzie szukać materyałów nawozowych i jak ich użytkować	—	50
Nitkowski A. O kierunku hodowli owiec . . .	—	60
Noskowski W. Podręcznik uprawy lnu i wyprawy włókna lnianego	2	50
Notatki dla gospodarzy wiejskich	1	20
Dyakowski B. Wędrówki zwierząt i roślin . .	1	60
Kramsztyk Stanisław. Komety, gwiazdy spadające	—	60
Piotrowski F. Nauka o pogodzie	1	60
Sawicki-Stella Jan Dr. Poznaj sam siebie, z 16 rysunkami	1	20
Skrzyńska K. Świat niewidzialny, czyli świat widziany przez szkła powiększające	1	60
Sterling S. Dr. Pielęgnowanie zdrowia . . .	1	60
Świat podbiegunowy	1	60
Numiski W. Ocean i jego tajemnice	1	60
Zaborowski A. Światy zaginione	1	60
Baumeister W. Chów trzody chlewnej	2	30

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

ZA CHLEBEM

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Rozpoczynamy drukować tę powiastkę za zezwoleniem Szanownych Wydawców.

I.

Na oceanie. — Rozmyślanie. — Burza. — Przybycie.

Na szerokich falach oceanu kołysał się niemiecki statek „Blücher“, płynący z Hamburga do Nowego-Yorku.

Od czterech dni był już w drodze, a od dwóch minął zielone brzegi Irlandyi i wydostał się na pełnię. Z pokładu, jak okiem dojrzeć, widać było tylko zieloną i szarą równinę, pooraną w bruzdy i zagony, rozkołysaną ciężko, miejscami zapienioną, w dali coraz ciemniejszą i zlewającą się z widnokręgiem pokrytym białymi chmurami.

Blask tych chmur padał miejscami i na wodę, a na tem tle perłowem odrzynał się wyraźnie czarny kadłub statku. Kadłub ten zwrócony dziobem ku zachodowi, to wspinał się pracowicie na fale, to zapadał w głąb, jakby tonął; czasem wzniesiony na grzbiecie bałwanu wynurzył się tak, że aż dno było mu widać, a szedł naprzód. Fala płynęła ku niemu, a on ku fali — i rozcinał ją piersiami. Za nim, jakby olbrzymi wąż, gonił biały gościniec spienionej wody; kilka mew leciało za sterem, przewracając kozły w powietrzu i kwiląc, jakby polskie czajki.

Wiatr był dobry; statek szedł połową pary, a natomiast rozpiął żagle. Pogoda znaczyła się coraz lepsza. Miejscami pomiędzy poszarpanemi chmurami widać było kawały błękitu nieba, zmieniające kształt ustawicznie. Od chwili jak „Blücher“ opuścił port hamburski, czas był wietrzny, ale bez burzy; wiatr dął ku zachodowi, chwilami jednak ustawał: wówczas żagle opadały z łopotem, aby następnie znowu wydąć się nakształt piersi łabędziej. Majtkowie, poubierani we włóczkowe obcisłe kaftany, ciągnęli linę dolnej rei [1]) wielkiego masztu i krzycząc żałośnie: „Ho—ho—o!“ pochylali się i prostowali w takt do śpiewu, a wołania ich mieszały się ze świstem piszczałek oficerskich i z gorączkowym oddechem komina, wyrzucającego przerywane kłęby, lub pierścienie czarnego dymu.

Korzystając z pogody, podróżni powysypywali się na pokład. Na tyle okrętu widać było czarne paletoty i kapelusze podróżnych z pierwszej klasy; na przodzie pstrzyła się różnobarwna gawiedź emigrantów, jadących pod pokładem. Niektórzy z nich siedzieli na ławkach, paląc krótkie fajki, inni pokładli się, inni, poopierani o burty [2]), spoglądali na dół w wodę.

Było i kilka kobiet z dziećmi na ręku i blaszanemi naczyniami, pouwiązywanemi u pasa; kilku młodych ludzi przechadzało się wzdłuż od dzioba aż do pomostu, chwytając z trudnością równowagę i zataczając się co chwila; ci śpiewali: „*Wo ist das deutsche Vaterland!?*“ (Gdzie niemiecka ojczyzna?) i może myśleli, że tego „*Vaterlandu*“ nigdy już nie zobaczą, ale mimo to wesołość nie schodziła im z czoła. Pomiędzy wszystkimi ludźmi dwoje było najsmutniejszych i jakby od reszty odłączonych: stary mężczyzna i młoda dziewczyna. Oboje, nie rozumiejąc po niemiecku, byli prawdziwie samotni i wśród obcych. Kto oni byli? każdy z nas na pierwszy rzut oka by to odgadł: chłopi polscy.

Chłop nazywał się Wawrzon Toporek, a dziewczyna, Marysia, była jego córką. Jechali do Ameryki i przed chwilą po raz pierwszy ośmielili się wyjść na pokład. Na zbiedzonych chorobą ich twarzach malował się przestrach i zdziwienie zarazem. Wylękłemi oczyma spoglądali na towarzyszów podróży, na majtków, na statek, na komin oddychający gwałtownie i na groźne wały wodne, ciskające grzywę piany aż do burt statku. Nie mówili do siebie nic, bo nie śmieli. Wawrzon trzymał się jedną ręką za poręcz, drugą za czapkę rogatą, żeby mu jej wiatr nie zerwał, a Marysia trzymała się tatula i ile razy statek pochylił się mocniej, tyle razy przytulała się do niego silniej, wykrzykując pocichu ze strachu. Po niejakim czasie stary przerwał milczenie:

— Maryś!

— A co?

— Widzisz?

— Widzę.

— A dziwujesz się?

— Dziwuję się.

Ale więcej się jeszcze bała, niż dziwiła; stary Toporek to samo. Szczęściem dla nich fala zmniejszała się, wiatr ustawał, a przez chmury przedarło się słońce. Gdy ujrzeli „słonko ko-

---

[1]) *Reja* — drąg poprzeczny, do którego przytwierdzony jest żagiel.

[2]) *Burty* — tak się nazywają boczne ściany okrętu.

chane“, lżej im się zrobiło na sercu, bo sobie pomyśleli, że „ono takuteńkie, jak w Lipińcach“. Jakoż wszystko było dla nich nowem i nieznanem, tylko ten krąg słoneczny, jarzący a promienny wydał im się jakby dawnym przyjacielem i opiekunem.“

Tymczasem morze wygładzało się coraz więcej; po niejakim czasie żagle opadły, z wysokiego pomostu rozległa się świstawka kapitana i majtkowie rzucili się je upinać. Widok tych ludzi, zawieszonych jakby w powietrzu nad otchłanią, przejął znów zdumieniem Toporka i Marysię.

— Nasze chłopaki nie potrafiliby tak — rzekł stary.

— Kiej Niemcy wleźli, to Jaśkoby wlazł — odparła Marysia.

— Który Jaśko? — Sobków?

— Gdzieta Sobków. Powiadam Smolak, koniucha.

— On jest chwacki, ale ty go sobie z głowy wybij. Ni jemu do ciebie, ni tobie do niego. Ty jedziesz panią być, a on jak był koniuchą, tak się i zostanie.

— On też gospodarstwo ma...

— Ma, to w Lipińcach.

Marysia nie odrzekła nic, pomyślała sobie tylko, że co komu przeznaczone, to go nie minie, i westchnęła tęsknie, a tymczasem żagle były już upięte, natomiast śruba zaczęła tak silnie burzyć wodę, że aż cały statek drżał od jej ruchów. Ale kołysanie ustało prawie zupełnie. W oddali woda wydawała się już nawet gładką i błękitną. Coraz nowe postacie wydobywały się z pod pokładu: robotnicy, chłopi niemieccy, próżniacy uliczni z różnych miast nadmorskich, którzy jechali do Ameryki szukać szczęścia, nie pracy; tłok zapanował na pomoście, więc Wawrzon z Marysią, by nie leźć nikomu w oczy, usiedli na zwoju lin w samym kątku wedle dzióba.

— Tatulu, długo jeszcze pojedziewa bez wodę? — pytała Marysia.

— Czy ja wiem. Kogo się spytasz, nikt ci nie odpowie po katolicku.

— A jakże my będziewa w Ameryce się rozmawiać?

— Albo to nie mówili, że tam naszego narodu chmara jest?

— Tatulu!

— Czego?

— Dziwować się, to się dziwować, ale zawdyk w Lipińcach było lepiej.

— Nie bluźniłabyś po próżnicy.

Po chwili jednak Wawrzon dodał, jakby mówiąc do siebie:

— Wola Boża!...

Dziewczynie oczy nabrały łzami, a potem oboje zaczęli rozmyślać o Lipińcach. Wawrzon Toporek rozmyślał, dlaczego jechał do Ameryki i jak się to stało, że jechał. Jak się stało? Oto przed pół rokiem w lato zajęli mu krowę z koniczyny. Gospodarz, który ją zajął, chciał trzy ruble za szkodę, Wawrzon nie chciał dać. Poszli do sądu. Sprawa przewlokła się od wyroku. Poszkodowany gospodarz żądał już nietylko za krowę, ale i za koszta jej utrzymania, a koszta rosły z każdym dniem. Wawrzon się upierał, bo żal mu było pieniędzy. Na sam proces wydał już niemało, wlokło się i wlokło. Koszta ciągle rosły. Nakoniec przegrał Wawrzon sprawę. Za krowę już się Bóg wie co należało; że zaś nie miał czem zapłacić, zajęli mu konia, a jego za opór skazali do aresztu. Toporek wił się jak wąż, bo żniwa właśnie nadeszły, więc i ręce i sprzężaj potrzebne były do roboty. Opóźnił się ze zwózką, potem też zaczęły padać deszcze; zboże porosło mu w snopach, więc pomyślał, że przez jedną szkodę w koniczynie cała jego chudoba pójdzie na marne, że stracił tyle pieniędzy, część inwentarza, całoroczny plon — i że na przednówku chyba ziemię będą gryźli oboje z dziewczyną, albo pójdą po proszonym chlebie.

Że zaś przedtem chłop był dostatni i dobrze mu się wiodło, zdjęła go tedy rozpacz straszna i począł pić. W karczmie poznał się z Niemcem, co się po wsiach niby o len zmawiał, a w rzeczy samej ludzi za morze wywodził. Niemiec powiadał mu cuda i dziwy o Ameryce. Ziemi obiecywał darmo tyle, ile w całych Lipińcach nie było — i z borem i z łąkami, a chłopu aż się oczy śmiały. Wierzył i nie wierzył, ale Niemcowi żyd pachciarz wtórował i mówił, że tam rząd daje ziemi każdemu, „ileby kto strzymał“. Żyd to wiedział od swojego synowca. Sam Niemiec pokazywał pieniądze, jakich nie tylko chłopskie, ale i dziedzicowe oczy jako żywo nie widziały. Chłopa kusili, aż go skusili. A jemu tu po co zostawać? Toż za jedną szkodę stracił tyle, że parobka mógłby za to utrzymać. Ma-li się na zatracenie podawać? Ma-li wziąć w rękę kij z jeżem i śpiewać pod kościołem: „Święta niebieska, Pani anielska?“ — Nic z tego nie będzie, pomyślał, Niemca dłonią w dłoń uderzył, do św. Michała się wyprzedał, córkę wziął — i oto płynął teraz do Ameryki.

Ale podróż nie znaczyła mu się tak dobrze, jak się spodziewał. W Hamburgu obdarli ich bardzo z pieniędzy: na statku jechali we wspólnej sali pod pokładem. Kołysanie się statku i nieskończoność morska przerażały ich. Nikt

go nie mógł zrozumieć, ani on nikogo. Rzucano nimi obojgiem, jak rzeczą jaką: popychano go, jak kamień przy drodze; Niemcy towarzysze drwili z niego i z Marysi. W porze obiadowej, gdy wszyscy cisnęli się z naczyniami do kucharza, rozdającego strawę, ich odpychano na sam koniec, tak że i głodem przyszło nieraz przymrzeć. Było mu na tym statku źle, samotno, obco. Oprócz opieki Bożej, nie czuł nad sobą innej. Miną przy dziewczynie nadrabiał, czapkę na bakier przekrzywiał, kazał się dziwić Marysi i sam się dziwił wszystkiemu, ale nie ufał niczemu. Chwilami ogarniała go obawa, że może te „pogany“, jak nazywał towarzyszów, w wodę ich oboje wrzucą, może mu każą wiarę zmienić, albo papier jaki podpisać, ba! choćby i cyrograf!

Sam ten statek, który szedł naprzód dzień i noc po bezmiarach morskich, który trząsł się, huczał, pienił wodę, oddychał jak smok, a nocą ciągnął za sobą warkocz iskier ognistych, wydawał mu się jakąś siłą podejrzaną i wielce nieczystą. Dziecinne obawy, choć się do nich nie przyznawał, ściskały mu serce; bo też ten polski chłop, oderwany od ojczystego gniazda, był naprawdę dzieckiem bezradnem i na naprawdę był na woli Bożej. Przytem wszystko to, co widział, co go otaczało, nie mogło mu się w głowie pomieścić; więc nic dziwnego, że, gdy siedział teraz oto na zwoju lin, głowa ta chyliła się pod brzemieniem ciężkiej niepewności i frasunku. Powiew morski grał mu w uszach i powtarzał jakby słowo „Lipińce! Lipińce!“ czasem też poświstywał, jakby lipinieckie fujarki: słońce mówiło: „Jak się masz, Wawrzonie? byłem w Lipińcach“, ale śruba burzyła wodę coraz gwałtowniej i komin oddychał coraz szybciej, głośniej, niby dwa złe duchy, które ciągnęły go dalej i dalej od Lipiniec.

Tymczasem za Marysią płynęły inne myśli i wspomnienia, a płynęły, jako on spieniony gościniec, lub jak mewy za okrętem. Wspominała oto, jako jesienią, późnym wieczorem, niedługo przed wyjazdem poszła do studni, do żórawianej, w Lipińcach wodę brać. Pierwsze gwiazdy zamigotały już na niebie, a ona ciągnęła żórawia, śpiewając: „Jasio konie poił — Kasia wodę brała“ — i czegoś jej było tak tęskno, jakby jaskółce jakiej, co przed odlotem świergocze żałośnie... Potem z pod boru, z pod ciemnego ozwała się przeciągle ligawka, a to Jaśko Smolak, koniucha, dawał znać, że widzi, jako się żóraw chyli i że zaraz nadejdzie z „potrawów“. Jakoż zadudniało, nadjechał, zeskoczył ze źrebca, potrząsnął konopną czupryną, a co jej mówił, to wspominała jakby granie jakie. Przymknęła oczy i zdawało się jej, że Smolak znowu szepce do niej drgającym głosem:

— Kiej się twój tatulo uparli, to i ja zadatek dworski oddam, chałupinę sprzedam, gospodarstwo sprzedam i pojadę... Maryś moja — mówił — gdzie ty będziesz, tam i ja żórawiem w powietrzu polecę, kaczorem wodą popłynę, złotym pierścieniem się po gościńcu potoczę, a znajdę cię, jedyna! Albo dola jakowa bez ciebie? gdzie ty się obrócisz, tam i ja się obrócę; co się z tobą stanie, to stanie się i ze mną; jedno nam życie i jedna śmierć: a jakom ci tu nad tą wodą studzienną ślubował, tak mnie niech Bóg opuści, jeślić ja cię opuszczę, Maryś moja jedyna.

Wspominając te słowa, Marysia widziała i oną studnię i miesiąc wielki, czerwony nad borem, i Jaśka jakby żywego. Miała też w tem rozmyślaniu ulgę i pociechę wielką. Jasiek chłop był zawzięty, więc wierzyła, że co rzekł, to i spełni. Ot! chciałaby tylko, żeby teraz był przy niej i słuchał z nią razem morskiego szumu. Z nimby było weselej i raźniej, bo on się nikogo nie bał i radę sobie umiał wszędzie dać. Co on tam robił teraz w Lipińcach, kiedy już pierwsze śniegi spaść musiały? Czy do boru z siekierą pojechał, czy konie oporządzał, czy może go ze dworu z saniami gdzie posłali? czy przeręble na stawie rąbał? Gdzie on jest teraz, serdeczny? Tu dziewczynie uwidziały się Lipińce całkiem takie, jak były: śnieg skrzypiący na drodze, zorza rumiana między czarnemi gałęziami bezlistnych drzew, stada wron, ciągnące z krakaniem od boru ku wsi, dymy idące z kominów ku górze, zamarzły żóraw przy studni, a w dali bór od zorzy czerwony i śniegiem przetrząśnięty.

Hej! gdzie to ona teraz była! gdzie ją tatusiowa wola zawiodła! W dali, jak okiem sięgnąć, jeno woda i woda, zielonawe bruzdy i zapienione zagony, a na onych wodnych polach niezmiernych ten jeden okręt, ptak zabłąkany; niebo na górze pustynia na dole, szum wielki i niby płakanie fal i poświst wiatru, a tam, przed dziobem statku, chyba dziewiąta ziemia, chyba kraj świata.

Jaśku nieboże! czy ty tam trafisz za nią, czy sokołem przez powietrze polecisz, czy rybą przez wodę popłyniesz, czy ty o niej myślisz w Lipińcach?

Powoli słońce chyliło się ku zachodowi i zapadało w ocean. Na pomarszczonej fali usłał się szeroki słoneczny gościniec, udzierzgał w łuskę złotą, mienił się, połyskiwał, świecił, płonął i ginął gdzieś na dalekościach. Okręt, wpły-

nąwszy na tę wstęgę ognistą, zdawał się gonić uciekające słońce. Dym, buchający z komina stał się czerwony, żagle i wilgotne liny różowe, majtkowie zaczęli śpiewać, tymczasem promienny krąg stawał się coraz większy i coraz niżej zapadał w toń. Wkrótce połowę już tylko tarczy widać było nad falą, potem tylko promienie, a potem na całym zachodzie rozlała się jedna wielka zorza i już nie wiadomo było w tych blaskach, gdzie się kończy światłość fal, a zaczyna niebo, powietrze i woda, zarówno nasiąkłe światłem, które gasło stopniowo: ocean szumiał jednym wielkim, ale łagodnym szumem, jakby mruczał pacierz wieczorny.

W takich chwilach dusza dostaje skrzydeł w człowieku i, co ma pamiętać — pamięta, co ukochała — kocha goręcej, za czem tęskni, do tego leci. Wawrzon i Marysia uczuli też oboje, że choć ich tam wiatr niesie jako liście marne, przecie drzewo ich rodzime, to nie ta strona, w którą jechali, ale tamta, z której odjechali: polska ziemia, ona zbożna, jednym łanem się kołysząca, borem zarośnięta, słomianemi strzechami upstrzona, pełna łąk od kaczeńca złotych i wodą świecących, pełna bocianów, jaskółek, krzyżów przydrożnych, białych dworów wśród lip; ona, co czapką rogatą pod nogi ima, słowami: „Pochwalony!“ wita, a „na wieki wieków“ odpowiada; ona wielmożna, ona matka najsłodsza, taka poczciwa, ukochana nad wszystkie inne na świecie. Więc czego ich chłopskie serca przedtem nie czuły, to teraz uczuły. Wawrzon zdjął czapkę, światło zachodnie padło na siwiejące włosy, myśl jego pracowała, bo biedak nie wiedział, jak miał Marysi to, co mu się zdawało, powiedzieć, nareszcie rzekł:

— Maryś, tak mi się widzi, jakby tam coś zostało za morzem.

— Dola ostała i kochanie ostało — odrzekła cicho dziewczyna, wznosząc oczy, jakby do pacierza....

Tymczasem ściemniło się: podróżni zaczęli schodzić z pokładu; na okręcie panował jednak ruch niezwykły. Po pięknym zachodzie nie zawsze noc bywa spokojna, dlatego świstawki oficerskie rozlegały się ustawicznie, a majtkowie ciągnęli liny. Ostatnie purpurowe blaski zgasły na morzu, a jednocześnie z wody podniosła się mgła; gwiazdy zamigotały na niebie i zniknęły. Mgła gęstniała w oczach, przesłaniając niebo, widnokręg i sam okręt. Widać było tylko jeszcze komin i wielki maszt środkowy; postacie marynarzy wydawały się zdaleka, jakby cienie. W godzinę później wszystko ukryło się w białawym tumanie, nawet latarnia, którą zawieszono na szczycie masztu, nawet iskry, które wydychał komin.

Okręt nie kołysał się wcale. Rzekłby kto, że fala osłabła i rozlała się pod ciężarem mgły.

Noc zapadała prawdziwie ślepa i cicha. Nagle wśród tej ciszy z najdalszych krańców widnokręgu ozwały się dziwne szmery. Był to niby ciężki oddech jakiejś olbrzymiej piersi, który się zbliżał. Chwilami zdawało się, że ktoś wołał z ciemności, potem ozwały się całe chorowody głosów dalekie, a niezmiernie żałosne i jakoby skarżące się płaczliwie. Nawoływania te biegły z ciemni i nieskończoności ku okrętowi.

Majtkowie, słysząc takie gwary, mówią, że to burza zwołuje z piekieł wiatry.

Jakoż zapowiedzi coraz były wyraźniejsze. Kapitan odziany w gumowy płaszcz z kapturem, stanął na wyższym pomoście; oficer zajął swe zwykłe miejsce przed oświetlonym kompasem.[1] Na pokładzie nie było już nikogo z podróżnych. Wawrzon z Marysią zeszli także do wspólnej sali pod pokładem. Panowała w niej cisza. Światła lamp umocowanych w bardzo niskiem sklepieniu oświetlały ponurem światłem wnętrze i gromadki emigrantów, siedzące wedle łóżek przy ścianach. Sala była duża, ale posępna, jak zwykle sale czwartej klasy. Pułap jej schodził się prawie z bokami statku, dlatego owe łóżka na krańcach poprzedzielane przepierzeniami, podobniejsze były do nór ciemnych, niż do łóżek, a i cała sala robiła wrażenie jednej ogromnej piwnicy. Powietrze w niej było przesycone zapachem smolnego płótna, lin okrętowych, ropy morskiej i wilgoci. Gdzie tu szukać porównania z pięknymi salonami pierwszej klasy! Przejazd choćby dwutygodniowy w takich salach zatruwa płuca niezdrowem powietrzem, powleka wodnistą bladością skórę na twarzy i często prowadzi za sobą szkorbut. Wawrzon z dziewczyną jechali dopiero dni cztery, a jednak gdyby ktoś porównał dawną Marysię lipieniecką, zdrową, rumianą, z dzisiejszą wynędzniałą przez chorobę, tenby jej nie poznał. Stary Wawrzon też zżółkł, jak wosk, ile że przez pierwsze dni nie wychodzili wcale oboje na pokład: myśleli, że nie wolno. Albo zresztą wiedzieli co wolno, a co nie? Nie śmieli się prawie ruszyć, zresztą bali się odejść od rzeczy. Siedzieli i teraz nie tylko oni, ale i wszyscy przy swoich. Takimi węzełkami emigranckimi zarzucona była cała sala, co powięk-

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) *Kompas* czyli igła magnesowa posiada tą własność, że się zawsze zwraca na północ; dlatego też służy do rozpoznawania stron świata.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka.**
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.